

# RODZINA

*rolska*



**MIESIĘCZNIK  
LUSTROWANY  
WARSZAWA**

**OD NOWEGO ROKU**

prenumerata Rodziny Polskiej z przesyłką do domu wynosi:  
 rocznie 6 zł, półrocznie 3 zł, kwartalnie 1,50

ADM. NISTRACJA

NABYCIE RADJOODBIORNIKA JEST

KWESTJA ZAUFANIA  
 -TEN ZNAK JEST-  
 GWARANCJA JAKOŚCI  
 SEP



**ECHO** 121-Z  
 121-S  
 131-B

## Radjoodbiorniki wysokiej klasy w niskiej cenie

cechowane znakiem SEP (Stow. Elektryków Pols.)

**Na poczet należności Przyjmujemy obligacje Pożyczki Narodowej w/g kursu emisyjnego po 1 obligacji 50-złotowej za odbiornik**

	warunki normalne na raty	za got.	przy zapłacie należności 50 zł. obligacją Pożyczki narodowej
typ 121-Z na prąd zm.	zł. 170.-	zł. 153.-	zł. 105.-
typ 121-S na prąd st.	zł. 195.-	zł. 175.50	zł. 127.50
typ 131-B baterijny	zł. 160.-	zł. 144.-	zł. 96.-

dopłata gotówką

Sprzedaż w Warszawie:

Block-Brun S. A., Krak. Przedmieście 42/44, K. Brun i Syn. Bielańska 2, Herman i Grossman, Mazowiecka 16, A. Klimkiewicz, Marszałkowska 154, B. Rudzki, Marszałkowska 146, Radjo-Foto, Żolibórz, ul. Mickiewicza 27, Kerntopf i S-ka, Szpitalna 9, B-cia Borkowscy S. A., al. Jerozolimskie 6, A. Rotnicki, Wileńska 15, Polskie Elektro-Radjo, Targowa 69, T. Szepeński, Wolska 28, „Prądnicza”, Żelazna 75-a, M. Bajkowski, Chmielna 43, „Universum”, Grochowska 58-a, K. Brzeziński, Krucza 49, J. Caboche, Al. Jerozolimskie 31, Sklep PZT-Państwowych zakładów Tele i Radjotechnicznych, Krakowskie Przedmieście 11 oraz większe sklepy radjowe na prowincji.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/4 str. — zł 700, 1/2 — zł 380, 3/4 — zł 200, 1/2 — zł 120, 1/16 — zł 70, 1/32 — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOŚI:  
 R O C Z N I E:

Polska . . . . .	6 zł.	Czechosłowacja . . . . .	40 kor. cz.
Niemcy . . . . .	5 R. mk.	Ameryka . . . . .	2 dolary
Francja . . . . .	25 frank	Inne kraje . . . . .	7 fr. szw.

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł; KWARTALNA — 1.50 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 50 gr.  
 Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon: 240.15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 15—17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

# R MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY **RODZINA POLSKA** A

ROK X.

WARSZAWA-STYCZEŃ 1936.

Nr. 1.

*Wszystkim Współpracownikom, Czytelnikom  
≡ i Sympatykom naszego pisma składamy ≡  
najserdeczniejsze życzenia „DOSIEGO ROKU“*

REDAKCJA

ZDZISŁAW KARR-JAWORSKI

## POWITANIE

*Poszedł rok stary. Od zamków — do chat,  
Poprzez obszary lasów, gór i pól —  
Idzie potężny okrzyk poprzez świat:  
Umart król stary! Hej! niech żyje król!*

*Niech żyje nowy, młody piękny pan,  
Co niesie z sobą tylko szczęścia wieść.  
Niech żyje Nowy Rok od Boga dan  
Tysiąc dziewięćset i trzydzieści sześć!*

*Niesie nam samych szczęsnych zdarzeń plon,  
Ogrom nadziei, odrodzenia cud!  
I tyle jeszcze innych, dobrych stron —  
I tyle jeszcze innych pięknych złud!*

*Może Rok Nowy będzie więcej wart?  
Może położy wszelkim biedom kres?  
I może kryzys wreszcie weźmie czart?  
I radość rządzić będzie zamiast łez?*

*Wita cię, Nowy Roku, każdy próg!  
Więc tak się staraj i tak ludziom służ —  
By za twych rządów sprawił dobry Bóg —  
Największe dobro — ODRODZENIE DUSZ!*



# DROGI ODRODZENIA...

Głośne dzieło Spenglera „Der Untergang des Abendlandes” pobudziło wielu uczonych do badań nad stanem współczesnej kultury i cywilizacji.

Większość zagranicznych i naszych autorów, podzieliwszy zdanie Spenglera, stwierdza z naciskiem, że światopogląd materialistyczny doprowadził cywilizacyjną kulturę zachodnią do głębokich wstrząsów i zatań. Zerwanie bowiem z tradycyjną kulturą chrześcijańską i przecenianie wartości materialnych kosztem duszy wydały tragiczne owoce. Już w r. 1919 wybitny znawca i zwolennik socjalizmu, prof. Ryszard Wilbrand, pisał: „Marx nie zwrócił uwagi na swoją zasadniczą cechę, na swoje bogactwo, na swoje ja. W całym swym myśleniu był zwrócony nazewną, na naturę i gospodarstwo, nie na siebie. Zapomniał o duszy”...

Lecz dusza mści się. Jest ona już tylko funkcją i tak się też zachowuje. Nie czyni nic sama z siebie. I przekonamy się, że to jest, czego najbardziej nam dzisiaj niedostaje. Materializm pogrzebał wartości duchowe człowieka, a na ich miejsce postawił dobra doczesne. Przerwanie porządku w hierarchji celów odbiło się smutnym echem w życiu jednostek i społeczeństw.

Odrodzenie przeto cywilizacji musi rozpocząć się od należytego poszanowania duszy i jej praw, oraz od podporządkowania dóbr doczesnych: społecznych, intelektualnych i materialnych pierwiastkom duchowym.

Odrodzenie cywilizacji oznacza to samo co jej uduchowanie.

Wielki ekonomista Schmoller u zmięchu ubiegłego stulecia zwracał uwagę, że „wszelki postęp w opanowaniu natury może przynieść trwałe błogostawieństwo, jeżeli człowiek sam siebie opanuje, jeżeli społeczeństwo zdoła uporządkować rewolucyjne kształtowanie się życia gospodarczego, zgodnie z wiecznymi ideałami etycznymi”.

W myśl nauki Chrystusa Pana św. Paweł często w swoich listach podkreślał także konieczność przemiany duchowej i odpowiedniego ustosunkowania się człowieka do Boga, bliźniego i świata. Życie bowiem ludzkie składa się z całego splotu stosunków. Oparcie tych stosunków na zrozumieniu wartości duszy człowieka oraz na pogłębieniu cnót miłości i sprawiedliwości może jedynie uratować cywilizację współczesną od katastrofy i wprowadzić ją spowrotem na tory rozwoju według światopoglądu chrześcijańskiego. Chrześcijaństwo stworzył podwaliny dla cywilizacji zachodniej i w ciągu wieków ożywiał ją zawsze swymi sokami. We wszystkich tych dziedzinach ducha ludzkiego zrodził genjuszów, którzy życiem swoim dali wymowne świadectwo, jak powinien się człowiek ustosunkować do Boga, ludzi i świata. Kręgi, czyli środowiska wychowawcze, społeczne i inne, natchnione zdrową atmosferą chrześcijańską, szanowały prawa duszy oraz zakon przyrodzony człowieka. W pierwszych wiekach, a potem w średniowieczu, myśl chrześcijańska kierowała jednostki, organizacje i społeczeństwa ku ideałowi augustyńskiego Państwa Bożego. Na drodze jednak w zrealizowaniu tej szczytnej idei stanął człowiek, który swą duszę zaprzedał w niewolę materji, co stało się przyczyną zatańmania rozwoju duchowego ludzkości. Dlatego też powrót do wzniosłych zasad chrześcijańskiej cywilizacji stanie się początkiem wyprowadzenia życia dzisiejszego z zamętu i przepaści.

Chrześcijaństwo miało w sobie siły stworzyć cywilizację, ma też i dziś moc ją odrodzić i wprowadzić na drogi potęczenia z temi zasobami, które nagromadziła praca pokoleń, których nie wolno zaprzepaścić. Idea z historjofosji św. Augustyna Państwa Bożego nie straciła nic na swojej aktualności i wartości, ludzie tylko, zapatrzeni w inne cele, odeszli od niej, obrali sobie ideały inne; zamiast wielkiego obowiązku dążenia do doskonałości, odtwarzania w sobie obrazu Bożego, związali się z ziemią i stali się jej niewolnikami. Tymczasem Stwórca poszczególnym jednostkom i narodom wyznaczył misję, którą muszą spełnić i w realizowaniu tej misji muszą spotem pracować, usuwając ze stosunków swoich to wszystko, co stoi na przeszkodzie planom Boga. Chrześcijańska cywilizacja pragnie urządzić życie jednostek, organizacji i narodów według myśli Bożej. Ona dąży do podporządkowania interesów doczesnych interesom wiecznym. Ona, dzięki swoim przymiotom wszechstronności, powszechności i żywotności, usiłuje stosunki ludzkie opromienić cnotami miłości i sprawiedliwości. Ona wreszcie wszystkie wzloty umysłu i serca ludzkiego chce oprzeć na prawie Bożem, na etyce zawartej w ramach dekalogu.

Prześlągnięte oparami materializmu dzisiejsze dążenia jednostek i narodów próbują zlekceważyć zasady etyczne i prawo przyrodzone przez wyrwanie z serc ludzkich idei Boga i religji. Autonomiczna i indywidualistyczna filozofja: Marxa, Hartmanna, Stirnera, Nietzschego, Zieglera i Rosenberga doprowadziła do jawnego propagowania pogaństwa w Niemczech. Wyrosły zaś na doktrynie Marxa i Lenina nihilizm bolszewicki nie przebiera miary w walce z wszelkim światopoglądem religijnym. Czy jednak uniwersalizm materialistyczny zdoła zwalczyć uniwersalizm idealistyczny, chrześcijański?

Trudno przypuścić, żeby materja mogła na stałe zapanować nad duchem, żeby perfidne walki mogły z serc ludzkich wyrwać to pragnienie dążenia do Boga i religji, które Stwórca wlał w naturę ludzką.

Toteż wielki rosyjski filozof Bierdiajew wierzy silnie, że po katastrofach, które spotkały naród rosyjski, religijność w duszy wschodniej odrodzi się gruntownie, zabłyśnie nad Rosją nowy blask życia religijnego, mistyczna dusza rosyjska musi wybuchnąć żywym płomieniem miłości ku Bogu. Rosja przeżywa obecnie „chrzest krwi” i walkę duchową, w tej walce podkreśla Bierdiajew konieczność unji Wschodu z Zachodem. „Zerwanie bowiem z Zachodem, z jego życiem religijnym jest, według niego, sprzecznym z ideą religijną rosyjską”. Już Dostojewski ślicznie w dziełach swoich stwierdzał wielką wartość kultury i cywilizacji zachodniej.

Chomiakow nazwał Europę zachodnią krajem świętych cudów. „Naród rosyjski przeto musi przejść przez wielką pokutę i oczyszczenie. Od Zachodu musi się nauczyć karności, męstwa duchowego i aktywności. Tylko unja duchowa Wschodu z Zachodem zdoła się przeciwstawić siłom Antychrysta”. Ze słów tych widać wyraźnie, jak wielką rolę w zachowaniu dorobku cywilizacji chrześcijańskiej odgrywa przeciwstawienie się zakusom agitacji bolszewickiej.

Przeciwstawić się zaś możemy jedynie przez wprowadzenie Boga we wszystkie przejawy cywilizacji. Cywilizacja bowiem, to dążenie do dobra, prawdy i piękna, ideałów tych nie można znaleźć poza Bogiem. W poznaniu rozumem i w umiłowaniu aktami Najwyż-

szej Prawdy, Dobra i Piękna tkwi istota szczęścia doczesnego i wiecznego. Nawiązanie więc synowskiego stosunku z Bogiem i oczyszczenie dzisiejszej atmosfery z miazmatów filozofii materialistycznej wszelkich odcieni i kierunków jest pierwszym etapem w dążeniu do odrodzenia cywilizacji zachodniej. Oprócz stosunków z Bogiem, ludzie współżyją z sobą w różnorodnych kręgach bytu i działania. Stąd następnym etapem w odrodzeniu dzisiejszej atmosfery jest oparcie współżycia ludzkiego na zasadach etyki chrześcijańskiej.

Nie wystarczy osąd etyki innej np. zawodowej, narodowej, państwowej, etyka bowiem normuje czyny ludzkie nie według użyteczności ich dla poszczególnej klasy, narodu lub państwa, ale według zgodności ich z prawem Bożem i sumieniem.

Punktem przeto wyjścia w układzie stosunków ludzkich musi być poszanowanie duszy ludzkiej, jako obrazu Bożego, odkupionego Krwią Chrystusową i uświęconego zamieszkaniem Ducha św. Według nauki Chrystusa wartość jednej duszy ludzkiej, choćby okrytej łachmanem, jest większa od dóbr całego świata materialnego.

Wszystko przeto, co sprzeczne jest z dobrem duszy, musi być ze stosunków ludzkich wyrugowane. Stąd jednostka X w życiu obowiązana jest do poszanowania praw i świadczenia obowiązków wobec jednostki Y i wobec środowiska, w którym obraca się i pracuje. Podobne obowiązki ciążyą na jednostce Y i środowisku wobec jednostki X. W kręgach wychowawczych wychowanek powinien zachowywać prawa rodziny, szkoły, organizacji, państwa i Kościoła. Z drugiej strony wyżej wspomniane instytucje w oddziaływaniu wychowawczym nie mogą obniżyć wartości duchowej ucznia. Dobro duchowe wychowanek ma być sprawdzianem w stosowaniu środków i metod wychowawczych. Tak samo stosunki wzajemne między instytucjami wychowawczymi opierać się muszą na miłości i sprawiedliwości, wszelkie bowiem tarcia i wzajemne podrywanie autorytetu ujemnie odbija się na wynikach pracy w kształtowaniu serc i umysłów młodych pokoleń.

Szczególną zaś pieczę otacza duszę młodzieży Kościół, z jego przeto wysiłkami łączyć się winny dążenia innych instytucyj wychowawczych, aby prędzej i skuteczniej osiągnąć cel wychowania młodzieży, która będzie stanowiła o kierunku i losach przyszłej cywilizacji. Celem zaś wychowania chrze-

ścijańskiego jest, według papieża Piusa XI, współdziałanie z łaską Bożą przy urabianiu prawdziwego i doskonałego chrześcijanina, t. j. ukształtowanie samego Chrystusa w człowieku.

Cel ten ma być pochodnią oświecającą wszelkie wysiłki w pracy wychowawczej, dążenie do tego celu świadczyć będzie, że stosunki w kręgach wychowawczych opierają się na zdrowych podstawach działania i dają rękojmię poprowadzenia cywilizacji ku odrodzeniu. Człowiek poza dziedziną wychowawczą styka się jeszcze z innymi ludźmi i z różnymi instytucjami na terenie życia społecznego. Na tem jednak polu światopogląd materialistyczny doprowadził ludzi do opłakanych następstw. Pogwałcone zostały zasady etyczne, prawa duszy i przyrodzony zakon człowieka. Za podstawę stosunków kręgów społecznych do jednostki przyjęto amoralną zasadę użyteczności społecznej.



W imię tej zasady zamieniono człowieka w bezduszny mechanizm, a społeczeństwo w stado. Bolszewizm w mechanicznym kolektywie dąży do ośnienienia świata produkcją i techniką materialną. Hitleryzm, w imię zasady użyteczności rasowej, realizuje ideał państwa, gdzie wobec bóstwa — rasy germańskiej ustąpić muszą względy moralne i zasady etyczne. Kult zaś pieniądza w Ameryce doprowadził do panowania kapitału i uzależnienia się państwa od kapitalistów. Faszyzm wreszcie zachwyca się omnipotencją państwa. Zasada użyteczności społecznej wchodzi też na arenę stosunków międzynarodowych, stwarzając atmosferę sprzeczną z duchem Państwa Bożego. W drodze przeto ku odrodzeniu cywilizacji musi nastąpić zerwanie z błędnymi hasłami i oparcie życia społecznego na chrześcijańskim światopoglądzie. „Połączenie bowiem pojęcia godności ludzkiej z miłością bliźniego, czyli indywidualizm z solidaryzmem, rozstrzyga o wartości społecznej chrześcijaństwa. Indywidualizm sam prowadzi ostatecznie konsekwentnie do anarchizmu. Solidaryzm, nie uwzględniający należycie czynnika indywidualnego, do omnipotencji państwa”. Chrześcijaństwo określa wzajemne obowiązki jednostek i instytucji społecznych, kładzie tamę wszelkim nadużyciom i walkom klasycznym, ujmuje się za poszanowaniem duszy ludzkiej. W kręgach pracy, chrześcijaństwo broni praw robotników i dąży do stworzenia warunków pracy i płacy, umożliwiających fizyczny oraz duchowy rozwój pracujących i ich rodzin. Stąd też Kościół propaguje korporacjonizm katolicki, jako formę zgodnego współżycia zawodowego, i pragnie religiję Chrystusową wprowadzić do wszelkich przejawów życia społecznego. Wtedy bowiem „gdy się religiję uczyni podstawą wszystkich praw w stowarzyszeniu, łatwo będzie uzgodnić stosunki członków do siebie, żeby panował spokój, a stowarzyszenie pomyślną rozwijało działalność”. W atmosferze więc chrześcijańskiego pokoju na-

leży rozwijać działalność jednostek i społeczeństw, promieniami miłości i sprawiedliwości prześwietlić życie społeczne i pchnąć je na tory odrodzenia.

Wiele zamętu w stosunkach społecznych sprawiło mylne zapatrywanie się współczesnego człowieka na wartość dóbr materialnych. Filozofia materialistyczna i na tem polu odniosła wielkie sukcesy. Dobra doczesne, które, według nauki chrześcijańskiej, powinny być środkiem, stały się celem wszelkich działań ludzkich.

W egoistycznym pędzie ku materji dusza i etyka zostały usunięte na bok, a na pierwszym planie postawiono urządzenie techniczne, pieniądź, kult ciała i zmysłów. Błysk złota omamił serce ludzkie. Nie zadowolily jednak aspiracyj duszy i nie przyniosły społeczeństwu szczęścia i radości, ani zdobycze techniczne, ani nadzwyczajny rozwój produkcji, ani wreszcie wyczyny ciała. Palenie i wyrzucanie stosami artykułów spożywczych w morze, umieranie z głodu setek tysięcy biednych, miliony bezrobotnych — oto owoc panowania materji nad duchem, budowania cywilizacji materialnej bez oparcia jej na proporcjonalnym rozwoju duchowym człowieka. Opatrzność pomieszała szyki zachłanności ludzkiej, szukanie szczęścia poza Bogiem stało się podobnem do budowy wieży Babel.

W odrodzeniu przeto cywilizacji zachodniej wielką rolę odgrywać będzie należyte ustosunkowanie się dzisiejszych ludzi do dóbr materialnych według światopoglądu chrześcijańskiego, który głosi, że „wszystkie dobra stworzone uważać należy tylko za środki, a używać ich wolno o tyle, o ile do ostatecznego celu prowadzą”. Dusza więc ma panować nad ciałem i materją, dobro duchowe człowieka musi być miarą wszelkich pragnień myśli i woli ludzkiej.

Cywilizacja współczesna przeżywa chwilę załamania, ale po burzy wstrząsów należy spodziewać się słonca odrodzenia przez rozwiązanie problemu stosunków człowieka z Bogiem, ludźmi i światem na podstawie światopoglądu chrześcijańskiego.



## NOWY KALENDARZ

Noc piękna, mroźna, szronem brylantowym

I wełnistemi mgłami świat osłania.

Zbliża się w ciszy chwila powitania

Złotej nadziei... zwanej Rokiem Nowym.

Odświeżone dzisiaj domu mego ściany,

Światła rzęsiściej płoną mi nad głową,

Gdy wraz z innymi, w tę noc Sylwestrową,

Czekam zwiastuna pomyślnej przemiany.

Czas uroczystość odwieczną powtarza,

Nieci otuchę tajemnicy technieniem.

Znam wartość złudzeń, jednak ze wzruszeniem

Patrzę na pierwszą kartę kalendarza.

Kartek tych wiele, a ich sens głęboki

Mieni się tęczą szczęścia i cierpienia;

Tu sprawiedliwa ręka przeznaczenia

Kreśli dla ludzi nieznane wyroki.

Lęk ziębi serce, bo widząc przede mną

Długi różaniec dni mej własnej doli,

Nie wiem czy wszystko przetrwać Pan zezwoli,

Czy pośród drogi straci w otchłań ciemną.

Jedną mam pewność, że z falą istnienia

Nadciągają wielkich wydarzeń rocznice,

Ninosące duszy: uczuć błyskawice,

Łez smutną rosę — i słodycz wspomnienia.

Marja Filipowicz-Wojciechowska.



ZDZISŁAW KARR-JAWORSKI

## GARBUSEK

Stał przy rozstaju na pustym wygonie stary krzyż, zmurszały od spodu i podparty sękatemi drągami.

Stał samotny, stercząc swoją nagością nad polem, na którym, jak oko sięgało, nie widać było ani jednego krzewu.

Przekrzywione ramie zwisało ku lewej stronie. Z braku drzew usłały sobie na niem gniazdo szczygły, żyjąc w zgodzie, co się rzadko zdarza, rodziną jaskółek, które w spróchniałej dziurze ulepiły sobie z błota schronienie.

Na krzyżu wisił Chrystus, nagi, tak jak na Golgocie. Ongiś powiadali ludziska, że po bokach Jego wisiły dwa łotry, które patrzyły na Chrystusa miłosiernym wzrokiem nawróconych. Zwałała ich zawierucha wojenna.

Chrystus ostał sam. W lecie prażyło Go słońce, jesienią deszcz zlewał i biczował Mu ręce i nogi, z których jedna pękła, zwisając bezwładnie ku dołowi. Śnieg prószył Mu w oczy, szeroko otwarte na wiatr i mroźną zawieruchę.

Nie wiedzieć, czy rzeźbiarz wyrzył łyzy na Chrystusa twarzy, czy długie jesienne deszcze je wyzłobiły, dość, że z oczu jasných... szeroko otwartych... dobrych... pełnych pobłażania i miłosierdzia płynęły ciągle wą-

skim strumieniem, ginąc w pokrytych rdzą kątach ust.

Rzadko kto zbłąkał się na wygon, na którym widać ślady starych okopów i dołów, wyrwanych przez pociski, by uchYLENIEM czapki oddać hołd Umęczonemu. Tu i tam białe nieopogrzebane kości poległych, czaszki wrosłe w ziemię, tu i ówdzie sterczał w wysokiej trawie kołek owinięty resztkami koleczastego drutu.

Krzyż walił się... Co rok chylił się bardziej ku ziemi, a z nim chylił się Chrystus Pan, zawieszony samotnie na zapomnianem poboju.

Oddawna nikt Mu nie zawiesił wianka z polnych kwiatów.

Na przeżartym rdzą gwoździu w miejsce maków, chabrów czy choćby skromnego rumianku, olbrzymi pająk, drwiąc z sąsiedztwa szczygłów i jaskółek, prządlł swoje sieci.

Wreszcie i ptaki opuściły swoje gniazda, jakby w obawie, że za lada podmuchem wiatru ramie krzyża odleci i rozbije się o ziemię, zamieniając się w proch.

Głusza i pustka panowały dokoła, jeno czasem wicher hulał po pustem, zarosłem wysoką trawą, dzikiem pastwisku, gwiżdżąc swoje czarcie czy żałobne pieśni, na rozrzuconych piszczelach umarłych, jakby drwiąc ze słabości podpartego drągami, pochylonego symbolu wiary Chrystusowej.

Aż pewnego dnia wszystko ożyło na wygonie. Mały pastuszek przynął stado owiec.

Sierota, garbus, wyśmiany, często bity przez swych rówieśników, przylgnał gorąco do stada — do swoich jedynych i najlepszych przyjaciół.

Przemawiał do nich, jak do ludzi, a one zdawały się go rozumieć, odpowiadając mu cichem i radosnym pobekiwaniem.

Garbus unikał ludzi, unikał innych pastuchów, którzy często znęcali się okrutnie nad jego ułomnością.

Jakby przez haniebną ironję losu, natura obdarzyła go rudemi włosami i brzydka, z zadartym i rozpląszczonym nosem, twarzą.



Z uszu ciekła mu cuchnąca ropa na otwarte skrofuliczne rany, na których polne muchy osiadły gęstem rojem, urządzając sobie żerowisko na żywym, zżartym chorobą organizmie.

Pastuch bardziej był podobny do ruchomego, gnijącego strzępu ciała, niż do istoty, stworzonej na obraz i podobieństwo Boga.

Ślepy na jedno oko, zaszłe bielmem, dziobaty, na skrzywionych angielską chorobą nogach, dopełniał obrazu najstraszliwszej krzywdy, jaką grzeszna ludzkość mogła wyrządzić niewinnej sierocie.

Biedny chłopczyzna uciekał o wschodzie słońca z chaty swego gospodarza, wracając dopiero późnym wieczorem, by zaszyć się znowu w kącie owczarni.

Przytulony do jednej z owiec, zasypiał szczęśliwy, że nikt mu nie dokucza.

Nieraz popłakiwał sobie ścicha, a małe jagnięta, łakome na sól, zlizywały z jego twarzy ciurkiem płynące zły.

Nieraz głucho łkanie rozrywało mu pierś i męczyło bardziej jeszcze i tak już strudzonego samem życiem biedaka.

Tego dnia garbus zbłąkał się ze stadem na wygon i stanął pod krzyżem.

Spojrzał na oblicze Chrystusa, na Jego utraconą nogę, na Jego poszarpane rdzą ciało, skalane przez ptaki.

Patrzył Mu długo w oczy i ulitował się nad dołą Zbawiciela.

Garbus znalazł pierwszego przyjaciela, którego dola nie lepszą była od jego własnej. Żrenice jego zaszyły łzami.

Chrystus już nie był sam. Na gwoździu wisiał od-tąd stale wianek ze świeżych kwiatów uwity, próchniejące drągi zostały zastąpione nowymi, a oderwaną nogę garbus złączył jak mógl z ciałem.

Wpatrywał się godzinami w Umęczonego za grzechy ludzkości i zdawało Mu się, że Pan uśmiecha się do niego i patrzy... patrzy... tak ciepło... tak jasno... tak miłosiernie.

Grywał Mu na fujarce piosenki skoczne, by się Jezusowi nie nudziło samemu na polu, a gdy zachodzące słońce rozlewało krwawą łunę po wygonach, zęgnął Go skinieniem ręki, obiecując wrócić nazajutrz.

Garbus tęsknił do krzyża i często, wybiegając z obo-



ry, siadywał w ciepłą letnią noc u podnóża, obejmował spróchniałe drzewo i całował je gorąco i długo, patrząc potem w jasne niebo, usiane tysiącem złotych, mrugających przyjaźnie do niego gwiazdek.

Często płakał... płakał cichutko... ze szczęścia i wiedział, że jego Jezusek, zawieszony nad nim, słyszy go i zabierze wreszcie do siebie.

Tak minęła wiosna, lato, jesień. Nadeszła zima — jedna z tych strasznych zim, które ludzie pamiętają długie, długie lata, wspominając ze strachem i grozą.

Chrystus na wygonie ostał się sam, okrutnie sam, smagany wichrem i mrozem, niby powrozami podczas biczowania.

Stare drzewo krzyża skrzypiało żałośnie, pękając z suchym trzaskiem. Dokoła śnieg tańczył obłędnie, zasypując wiecznie otwarte i wiecznie łagodne oczy Umęczonego.

Garbusek, skazany na ciągłe pozostawanie w owczarni, cierpiał i tęsknił do „Swego Przyjaciela”.

Tęsknił i współczuł Jego cierpieniom na mrozie. Płakał już teraz nie nad swoją, ale nad Jego dołą. Jakże musi Mu być zimno... jak strasznie zimno i źle. Pewno Mu znowu psotny wiatr oderwał nogę, na której zwisły sople lodu, pewno Mu oczy zasypała śnieżycą, kłując Go, jak szpilkami, w źrenice... szeroko otwarte... I ten mróz... i ta okrutna zawieja...

Aż nocy wigilijnej, gdy huragan śnieżny rozsiała się jak wściekły, rudy garbusek powstał z ciepłego, wygrzanego przez owce legowiska i wyszedł na dwór, udając się w stronę wygonu.

Nikt go nie chciał widzieć przy stole, nikt nie dzielił się z nim opłatkiem. Zapomniano o nim zupełnie.

Resztki opłatka, rzucone w myśl tradycji owcom, starczyły mu zaledwie, by podzielić się z najmniejszym jagnięciem.

Z dworu dolatywały go wesołe tony kolendy...

I po raz pierwszy w życiu garbus poczuł się sam... Okrutnie sam...

W duszy jego zrodziło się nieprzeparte pragnienie ujrzenia „Swego Jezusa”, któremu gorzej było jeszcze na wygonie, niż jemu wśród owiec.

Wszedł na pole...

Zdala dochodziło wesołe szczekanie psów i cichnąca kolenda...

„Lulajże Jezuniu — lulajże lulaj”.

Szedł uporczywie pod wiatr, padał w głębokie zaspy śnieżne, podnosił się znowu... szedł... nie czując mrozu, ani nie bojąc się czyhajacej na niego zewsząd białej śmierci... Szedł ciągle naprzód i szeptał:

— Ugrzeję Cię... ugrzeję Cię, Panie... i nie będziesz już czuł zimna... Zabiorę Cię do stajenki, między owieczki... i znów będziemy razem i znowu będzie nam dobrze, tak, jak dawniej.

Wreszcie dotarł do wygonu. Po oślizgłych drogach wspiął się do ramion krzyża, nadludzkim wysiłkiem oderwał przymarznietego do drzewa Chrystusa i zsunął się cicho na ziemię.

Przywarł ustami do piersi Jezusa, całował długo, tarł w swoich rekach oderwaną nogę i, rozpiąwszy swój barani kubraczek, włożył figurkę za pazuchę.

— Będzie ci ciepło, Jezuniu, teraz... ciepło...

I z tej szczęśliwości zrobiło mu się dziwnie słodko i sennie i tak jakoś dobrze, jak nigdy jeszcze na świecie...

Usiadł pod krzyżem na drągu, a objąwszy Jezusa mocno, mocno, jak matka dziecko, tulił Go do swej piersi i czuł, jak błogość i szczęście rozpięrały mu serce. Osunął się na ziemię.



HR. ADAM ROMER

## CIEMNE SIŁY

Wystąpienie Ligi Narodów przeciwko Włochom zostało z szczególną radością powitane na całym świecie przez wszystkie t. zw. ciemne siły, masonerję, żydostwo międzynarodowe i obie czerwone międzynarodówki. Siły te zresztą działały zupełnie jawnie na terenie genewskim, nie uciekając się do konspiracyjnej roli w tak typowo zmasonizowanym sekretarjacie Ligi. Przecież zgromadzeniu L. N. przewodniczył sam p. Benesz, jak powszechnie wiadomo, jeden z filarów Paryskiego Wielkiego Wschodu. Głównymi zaś oskarżycielami Włoch stali się najbliższy p. Beneszowi „brat” p. Titulescu oraz wiadomo co i kogo reprezentujący p. Baruch-Litwinow. Równocześnie wszystkie ligi „praw człowieka i obywatela”, wszystkie pisma „liberalne” i socjalistyczne, tak mało czułe na prześladowanie Kościoła w Rosji czy Meksyku, na niedolę Europy środkowej o nędzę dotkniętych kryzysem mas w Polsce, uderzyły na alarm spowodu zagrożenia wolności negusa; najwięksi „pacyfiści” zaczęli się domagać zbrojnego wystąpienia przeciw Włochom. Znanie z dowcipu paryskie pismo „Gringoir” podało całą serję doskonałych karykatur, przedstawiających przywódców francuskiego „frontu ludowego”, udających się na pomoc „królowi królów”, który mianuje ich „rasami” i pozwala na kołysanie do snu wojowników abisyńskich odczytywaniem im ksiąg Karola Marksa. Francuski front ludowy jest zaś, jak wiadomo, niczem innym jak wewnętrznym wydaniem owego przymierza masońsko-czerwonego, zawartego wobec „niebezpieczeństwa faszystów”, którego wyrazem zewnętrznym są słynne pakt o wzajemnej pomocy, zawierane z komunizmem moskiewskim przez wszystkie państwa, znajdujące się pod wpływem przemożnym masonerji lub międzynarodówek czerwonych.

Mamy poprostu do czynienia z ostatnią może wiel-

ką ofensywą „ciemnych sił”, zagrożonych w swoim istnieniu ogólną reakcją w Europie przeciwko „zdobyciom wielkiej rewolucji” i nawrotem do tradycyjnych, chrześcijańskich pojęć o podziale władz w narodach. Wielki Wschód i obie międzynarodówki czerwone tak bardzo się już czuły zagrożone w swojej egzystencji, że gotowe były do kompromisu z faszystem włoskim, byleby zgnieść przy pomocy Mussoliniego hitleryzm. Oportunizm włoskiej polityki ostatnich lat, robiący wrażenie wyraźnych tendencji zbliżenia z Sowiecami, mógł tylko zachęcać „ciemne siły” do takiego kompromisu. Gdy jednak nadarzyła się tak wymarzona okazja do nagonki na faszystów, jak sprawa abisyńska, wspomniane międzynarodówki nie wytrzymały i postanowiły widocznie za jednym zamachem się odegrać, likwidując faszystów i hitleryzm równocześnie! W dodatku niezadowolone mas, dotkniętych zaostrzeniem się kryzysu w wyniku sankcyj we wszystkich państwach w takich biorących udział, stało się wodą na młyn wszystkich zawodowych demagogów i wywrotowców. Toteż i „ciemne siły” zabrały się wytrwale do pracy nad dalszym zaostrzeniem sytuacji, nad rozszerzeniem sankcyj, nad izolacją Włoch i Niemiec równocześnie. Jednym słowem, ofensywa „ciemnych sił” poszła „na całego”, ofensywa, jakiej się dotąd nie doczekał żaden „łamacz” traktatów czy zdobywca kolonij.

Powodzenie tej akcji byłoby jednak możliwem tylko w wypadku wytrwania Anglii na stanowisku nieugiętem wobec Włoch i zmiany rządu we Francji w kierunku integralnego zadowolenia żądań „frontu ludowego”. Dziś trudno się jeszcze ludzi „ciemnym siłom”. Rząd angielski nawet przed wyborami, kiedy tak bardzo chodziło o wykorzystanie „ligowego mistycyzmu” mas angielskich na rzecz konserwatystów i prze-



Król Wiktor Emanuel III i Mussolini

Zdawało mu się, że znajduje się w miękkim, białym puchowym łożu... tak czystem, jak śnieg...

Było mu ciepło i rad był z tego, bo czuł, jak topniał na jego piersi lód, który ściał Chrystusa.

Szczęśliwy, spojrzął jeszcze raz na pusty krzyż, przygarnął mocniej jeszcze do piersi „Swego Jedynego Przyjaciela”, szepnął:

— Lulajże, Jezuniu — i zasnął.

Na dworze wichura ucichła.

Z nieba padał teraz cichutko wielkimi płatami puchowy śnieg, otulając troskliwie śpiącego garbuska, którego dusza wespół z aniołami śpiewała w niebiosach „Malczykiem”:

„LULAJŻE, JEZUNIU”.

ciwko niebezpieczeństwu socjalistycznemu, stale łagodził sytuację w ostatniej chwili, gdy napięcie stosunków z Rzymem zanadto groziło wybuchem. I obecnie stało się jasnym, że i w Londynie pragną ułatwić Włochom wyjście z sytuacji w chwil, kiedy zdobycze terytorjalne i duma z sukcesów oręża włoskiego pozwoliły Mussoliniemu na gest pojednawczy. Obecnie ma się wrażenie, że chwila pojednania nie jest już zbyt odległą. Opinia angielska, czuła nie tylko na względy interesu egoistycznego kraju, lecz i na momenty obiektywnej słuszności, nie może być nieczułą ani na imponujący patriotyzm mas włoskich, oddających ostatni grosz w odpowiedzi na sankcje, ani na więcej niż podejrzanę towarzystwo, w jakim się Anglja znalazła w wyniku przeciwwłoskiej nagonki ciemnych sił. Postawa Kościoła katolickiego, którego przedstawiciele krzyże i łańcuchy ofiarują na rzecz akcji oręża włoskiego i odporności wobec presji zagranicy, wskazuje, że postawa całego narodu włoskiego w tej sprawie jest zgodną i że cel, przyświecający ciemnym siłom, został przez społeczeństwo katolickie w pełni zrozumiany.

„Ciemne siły”, tak świetnie operujące plotkami i straszakami, mają wielką słabość, a mianowicie —

zbytnią skłonność do interesów. Bolszewicy, jako producenci kaukaskiej nafty, tak samo niechętnie odnoszą się do projektów ograniczenia ich zysków wojennych, jak żydzi i masoni, właściciele kopalń w Ameryce i Rumunji. Lubią one zasadniczo łowić ryby w mętnej wodzie i zaostriąć stosunki międzynarodowe, by wygrywać wzajemne rywalizacje i nie dopuszczać do wzmacniania się międzynarodowej solidarności chrześcijańskiej. „Ciemne siły” jednak nie grzeszą bohaterstwem i nowej wojny światowej napewno się boją, bo mogłyby więcej stracić niż zyskać. Ideałem ich pokojowym byłby ogólny pakt o wzajemnej pomocy z udziałem Sowieców, w którym, dzięki czerwonemu mocarstwu i związanej z niem grupy państw o rządach masonskich, miałyby przeważające wpływy. Przy równoczesnym utrzymywaniu stosunków pomiędzy Włochami a Anglją, Włochami a Niemcami, Niemcami a Francją, Węgarmi a Małą Ententą, Polską a jej sąsiadami w stanie ustawicznego zaognienia, pakt taki byłby znakomitym instrumentem do utrwalenia w sekretarjacie generalnym Ligi Narodów w Genewie hegemonji patentowanych międzynarodowych „pacyfistów”. Polityka ta jest zupełnie logiczna. W przeciwnym bowiem wypadku, czyli w wypadku kon-

solidacji pokoju na podstawie braterstwa narodów chrześcijańskich autorytet ponadnarodowy z natury rzeczy utożsamiłby się z Watykanem a nie z Genewą. Wszak już obecnie kościoły protestanckie, a wślad za nimi prawosławne, coraz bardziej gawitują ku uznaniu Stolicy Piotrowej za najwyższy autorytet „moralny” w całym chrześcijaństwie.

Polska katolicka najbardziej zainteresowaną w tem, by ostatnia już może wielka międzynarodowa ofensywa „ciemnych sił” ostatecznie się załamała. Mimo całej lojalności względem zobowiązań naszych wobec Ligi Narodów i sympatji dla ludów Abisynji, których tamtejsze koptyjskie, spalone chrześcijaństwo nie chroni przed niewolnictwem, przed uciskiem i wyzyskiem ze strony ich semickich możnowładców, musimy przedewszystkiem stwierdzić dwie rzeczy: Liga Narodów stała się narzędziem z jednej strony egoistycznych interesów pewnych mocarstw, z drugiej jawnych intryg



Cesarz Abisynji odbiera defiladę



*Piękność abisyńska*

K. M. MORAWSKI

# RZYMSKIE PRZYBYTKI BRACI ODROWAŻÓW

## I.

Dwie epoki, dwie burze dziejowe, dwóch reformato-  
rów, — zaranie wieku XIII-go szturm albigensów na  
Opokę Piotrową, i — zaranie wieku XVI-go wyzwanie,  
protest Lutra. W obu objaw analogiczny: z półwyspu  
Iberyjskiego, starej dziedziny walk Krzyża z niewiernymi,  
z owych „kresów” Europy, użyźnionych krwią bo-  
haterów, wstaje w odległości trzech stuleci dwóch za-

konodawców, dwóch rycerzy, dwóch „atletów” Chrystusa:  
jeden — to bicz heretyków, pies, strzegący trzody Pań-  
skiej i przeciwstawiający się zakusom węzowym, Do-  
minik, syn rycerza kastylijskiego, Feliksa Guzmana  
z Kalarogi, a drugi — to wódz gwardji papieskiej, to  
twórca „Towarzystwa Jezusowego”, Baskijczyk Inigo Lo-  
pez de Realde, syn pana na Loyoli.

Analogja dwojga tych epok była duża, ale niezupeł-  
na. Epoka Guzmana, choć zeświecczona, bo przeorana,  
jak nasza, miądzącym kraje i dusze rydwanem wojny,  
choć przeniknięta miazmatami, których Zachód nabył  
ze wschodu — jak my od Bolszewji, tak krzyżowcy od  
kultur saraceńskich — u szczytu wszakże Kościoła była



Kościół po odnowieniu



Podwórze klasztorne

wiadomych międzynarodówek. Taka jej rola jest cał-  
kowicie sprzeczna z interesem Polski. Nie jesteśmy stro-  
ną w konflikcie afrykańskim, godzimy się jednak z Włochami  
w jednym, a mianowicie w uznaniu niesprawiedliwego  
podziału kolonij i konieczności podziału ich  
przedewszystkiem pomiędzy narody o najzdrowszym  
przyroście ludności i najlepszym uzdolnieniu do pojmo-  
wania władzy nad dzikimi szczepami w sensie misji  
chrześcijańskiej. Co się zaś tyczy naszego stosunku do  
Ligi Narodów, to musimy się domagać gruntownego jej  
przeobrażenia. Podstawą solidarności międzynarodowej  
może być jedynie braterstwo narodów w Chrystusie.  
Stosunki pomiędzy narodami muszą być oparte na tej  
samej etyce, która obowiązuje pomiędzy jednostkami.  
Odrzucamy kategorycznie wszelki związek z państwem  
czerwonej komunij, któryby upoważniał do interwencji  
w Europie i do udzielania nam „pomocy” kuźni rewolu-  
cji światowej i powszechnej walki z Bogiem. Odrzu-  
camy wszelkie pomysły, sugerowane nam zwłaszcza ze  
strony niemieckiej, jakiegokolwiek krucjaty zaborezej  
przeciwko sowieckiej Rosji, z którą, tak samo jak z każ-  
dą inną Rosją, pragniemy żyć w pokojowych stosun-  
kach sąsiedzkich. Nie pozwolimy „ciemnym siłom”  
uczynienia z Polski spowrotem pobojuwiska pomiędzy  
Rosją a Niemcami. Ale nie pójdziemy również na poli-  
tykę „okrażania” hitlerowskich Niemiec, ponieważ  
pragniemy pokoju z Rzeszą, niezależnie od ich ustroju,  
i nie możemy odmówić Niemcom prawa do jednoczenia  
się, chociażby to groziło powstaniem zbyt wielkiej po-  
tęgi. Nie możemy popierać polityki Małej Ententy,  
zwróconej jednostronnie przeciwko Węgrom, których  
dalekoidące pokrzywdzenie zwłaszcza na rzecz Cze-  
chosłowacji, niewątpliwie było dziełem tak przemoż-  
nych na konferencji pokojowej „ciemnych sił”. Prze-

cież w tym samym czasie, kiedy katolickiej Polsce bro-  
niono jakiegokolwiek „niepolskich” skrawków, Czecho-  
słowację dosłownie zasypano dzielnicami obcoplemien-  
niami, których obecnie nie może strawić. Lecz ani przy-  
jaźń nasza dla Węgier, ani upominanie się nasze o pra-  
wo wydartej nam przemocą i podstępem ludności pol-  
skiej zza Olzy nie skłonia nas do popierania usiłowań,  
zmiierzających do rozbioru Czechosłowacji, z którą pra-  
gniemy stosunków pokojowych. Inna rzecz, że trudno  
o przyjaźń z państwem, które w latach 1919—20, kiedy  
broniliśmy sami Europy przed najazdem czerwonym,  
wspomagało naszych i chrześcijaństwa najgorszych wro-  
gów napadem na Śląsk, nieprzepuszczeniem pomocy  
z Węgier i Francji i wydaniem na pastwę bolszewików  
polskiej dywizji zasłaniającej z bohaterstwem poświęc-  
niem odwrót wojsk czeskich z Syberji. Trudno jednak  
byśmy nie byli zaalarmowani przygotowaniami tajemni-  
czymi na Słowaczczyźnie, mającymi ułatwić wojskom so-  
wieckim przyłot, względnie przemarsz! Nie przeszkad-  
zała dotychczas przynależność Rumunii do Małej Ent-  
enty sojuszowi jej z Polską, który ma dla nas kapitalne  
znaczenie dla zapewnienia nam łączności z morzem  
Czarnym, z Turcją i Bułgarią. Pragniemy więc rozbu-  
dowy i wzmocnienia tego sojuszu, nie możemy się jed-  
nak pogodzić z ewentualnością przystąpienia Rumunii  
do sojuszu czesko-sowieckiego, będącego główną przy-  
czyną zaognienia stosunków polsko-czeskich, powodu  
groźby okrażenia nas od południa. Na szczęście nie do-  
puszcza w Bukareszcie do tego król Karol, popierany  
przez wszystkie grupy przeciwmasońskie w przestrzegani-  
u przyjaźni z Polską. W Czechosłowacji natomiast  
rządzą wszechwładnie Masaryk i Benes, „bracia” naj-  
wyższego stopnia, reprezentujący współczesną politykę  
ciemnych sił.

Ale przyszłość nie do nich należy.

epoką Inocentego III, nie zaś Leona X. Ale niepokojąco wyglądały doły, a już najgorzej się działo w owej „Judei francuskiej”, na owem południu Francji, od stuleci przenikniętem pierwiastkami duchowymi i nalotami sekciarskimi Wizygotów, bisurmańskich Saracenów i włóczących się za ich armjami Żydów, co z Babilonu zawitali byli do Kordowy.

Tu, w tej żywej krainie, głaskanej wiatrem od Morza Śródziemnego, tu między Albi a Tulużą począł się na przełomie wieków XII-go i XIII-go ruch sekciarski, dziwnie zbliżony do dzisiejszej masonerii, przeto wielbiony podziśdzień przez nią, jako jeden z kongenjalnych antenatów, ruch, wzorujący się dogmatycznie na doktrynie, organizacyjnie na hierarchji Rzymu, w zakresie społecznym — wysuwający hasła komunistyczne, pod względem zaś etycznym — mieszejący, niby współczesna teozofja, sacra profanis, daleko posuniętą ascezę z wyuzdanym seksualizmem.

Dominik Guzman przeciwstawił się spaczeniom i zbroczeniom sekty albigejskiej, przeciwstawił się słowem i mieczem, natchnionym słowem Twórcy Zakonu Kaznodziejskiego i mieczem świeckim, jako ramieniem Świętej Inkwizycji, i poszedł na bój z zastępami Szymona de Montfort, jak inny mnich, Dominik a Jesu Maria, towarzyszyć będzie po latach trzystu, z modlitwą na ustach, zastępom Tillyego.

W modlitwie — „wił” już „wianki różańcowe”; w ubóstwie stawał się założycielem pierwszych zakonów żebrzących; w doktrynie nareszcie — jak słusznie podnosi najświeższy jego biograf polski — „postawił do dziś dnia niezalutwany problem ratunku i zbawienia świata przez elitę moralną i umysłową”. Osiadł więc i umarł też w Bolonji, która tej wiosny obchodziła jego jubileusz, w Bolonji, „mater studiorum”, a spod jej krzywych wież i z innych uniwersyteckich ulów europejskich, wyrażać się zaczęły odtąd, niby białoskrzydłe zjawy, owe postaci dominikańskich doktorów: Tomaszów, Bonawentur, nie licząc gromkich kaznodziejów ludowych w stylu Sawonaroli i ewangelicznych braciszków, jak Angelico z Fiesole.

## II.

Nikt plastyczniej, jak historyk francuski Montalambert, nie odmalował stulecia Dominika i Jacka. Nikt plastyczniej nie nakreślił kontrastu pomiędzy schyłkiem wieku XII-go, w którym wybrzmiewały krucjaty, w którym znowu w ręce niewiernych wpadała Jerozolima, a brząskiem następnego stulecia, u którego progu wstępował na tron papieski znakomity Inocenty III.

Inocenty III, mąż niezwykle natchnienia i ducha, najdoskonalszy bodaj w ciągu wieków przedstawiciel tego uniwersalizmu chrześcijańskiego, który za jego czasów gruntował już wpływ swój i powagę od Islandji aż po Sycylję, od Portugalji aż po Armenję, najwyższy zwornik tej wzniosłej budowy hierarchicznej, co wydała w jego czasach biskupów tak światłych, jak Langton angielski czy Kietlicz polski lub francuski Castelnau, zabity ręką heretyka — z wyżyn Lateranu, kierował zwartą jeszcze Europą.

Święte cesarstwo rzymskie niezawsze się godziło, aby być, jak za Karola Wielkiego, ramieniem świeckim papieżstwa. Henryk IV spod Kanosy i Fryderyk Barbarossa spod Medjolanu znaleźli butnego następcę w Fryderyku II Hohenstaufenie, doskonałym wcieleniu złych wpływów Wschodu na Zachodzie. Ale na miejsce „świętego cesarstwa” meldowała się już „najstarsza córka Kościoła”, a wikarym papieskim w gronie książąt chrześcijańskich, stawał się św. Ludwik, ostatni Krzy-



Kaplica św. Jacka



Klasztor przed zamianą na szpital



Zaprzáństwo św. Piotra

żowiec, wzór cnót średniowiecznego panującego, w zakresie zaś zasług bardziej świeckich, twórca takich pereł budownictwa gotyckiego, jak „Sainte-Chapelle” i Saint-Denis” w Paryżu.



Trzej Królowie niosą dary

Anglja liczyła w szeregach swoich duchownych Stefana Langtona, co wydzierał królowi Janowi przesłanną „Wielką Kartę”, podstawę konstytucji angielskiej. Na innym krańcu Europy, Polska, jako przedmurze chrześcijaństwa, miała za prymasa Henryka Kietlicza, co równoważył skutecznie porywy i niesnaski późnych Piastowiczów, podczas gdy na Śląsku św. Jadwiga, matka Henryka Pobożnego, wznosiła tę dynastję, w okresie szczególnie użyźnionym świętością, już na stopnie ołtarzy,

Na innym zaś krańcu Europy rozkwitała i uświęcała się inna monarchja katolicka, monarchja „katolicka” par excellence, król Alfons Kastylijski, zwany „Małym” i prymas Rodryg Ximenes, arcybiskup Toleda stawali się tu też bohaterami zwycięstwa chwalebego pod las Navas de Tolosa, które uwalniało półwysep od pięciowiekowej opresji muzułmańskiej.

Oto był obraz współczesny największych monarchji katolickich.

### III.

Iwo Odrowąż, biskup krakowski, fundator kościoła Panny Marji, bawił w tym czasie wraz z dwoma synowcami, Jackiem i Czesławem, w Rzymie. Obecny on był w kościele św. Sykstusa, podczas mszy odprawianej przez św. Dominika, który wskrzesił podczas tej mszy zmarłego od kilku godzin, młodego Napoleona Orsiniego.

Odrowąże — była to rodzina małopolsko-śląska, związana zatem z temi dzielnicami Polski, w których żywy był kult świętości i które wydały cały zastęp świątobliwych mężów i niewiast. Jacek Odrowąż, dzięki stryjowi, został już był kanonikiem krakowskim, ale teraz przemyślał, jakby rzucić swoją kanonję, jak to uczynił był stojący przed nim Hiszpan-cudotwórca, co, przybrawszy się w habit biały i płaszcz czarny, z garstką wiernych uczniów wyruszył był na połów dusz.

Po wyjściu z kościoła spotkali trzej Odrowąże Dominika, wtedy zaś dwaj młodzieńcy w jednej chwili

ukłękli obaj u jego stóp, błagając o przyjęcie do zakonu.

### IV.

Będąc ostatnio w Rzymie, nie zwiedzałem kapitułarza, w którym święty reformator oblókł w białe habity i czarne płaszcze dwóch młodych szlachciców z Polski. Nie mogłem również oglądać wdzięcznego *chiostra*, które tu widzimy w dwóch reprodukcjach (fig. 1 i 2), ponieważ nie pragnąłem się zarazić jedną z chorób zakaźnych, które są pielęgnowane w powstałym w przybytkach klasztornych lazarecie. Zato jednak, u podnóża Kapitolu, dowiedziałem się od profesora Munoz, który jest prawą ręką Mussoliniego we wkrzesaniu i przetwarzaniu starego Rzymu, że w ciągu zimy przeniesiony zostanie dokądindziej ów lazaret awentyński i że się oczom turystów z Polski odślonią w nieskalanej artystycznej postaci owe najpierwsze w Europie przybytki dominikańskie, w których modlili się i z piórem w rękę pracowali bracia Odrowąże.

Przez dwa tygodnie codziennie wiózł mnie zato wygodny rzymski autobus wzdłuż przepięknej bazyliki, w której dwaj bracia kazali, spowiadali, odprawiali Mszę świętą. Jest to słynny kościół św. Sabiny, wzniesiony prawdopodobnie na miejscu willi zacnej matrony rzymskiej tego imienia, nad warownemi stokami Awentynu, które w wiekach średnich stanowiły gród moźnej rodziny Savellich. Na załączonej ilustracji widzimy tu tę dostojną bazylikę, tak jak przedstawiała się dawniej i jak wygląda teraz, po genialnej restauracji, dokonanej przez wspomnianego Munoz. Odrzwia, które przedstawia ilustracja powyższa — to jest zapewne najstarszy portal chrześcijański w Europie, zaś płaskorzeźby, widoczne na jego przesłach, z wruszającą prostotą odtwarzają hold Trzech Króli oraz zaprzężenie św. Piotra. Następne ilustracje dają nam wyobrażenie kościoła, tak jak wyglądał przed i po restauracji, która to



Kościół przed odnowieniem

restauracja, w najprzemysłniejszy sposób, postarała się usunąć z niego wszelkie późniejsze wtęty i przywrócić mu najczystsza postać pierwotnej bazyliki chrześcijańskiej.

Jeszcze jedna ilustracja: to widok rzymskiej kaplicy św. Jacka, jakże podobnej do jego krakowskiego mauzoleum, a na prawej planszy dobrze znany obraz Matki Boskiej Różańcowej, pędzla Sassoferrata, którego kopja zdobi również jeden z ołtarzy dominikańskich w krakowskiej bazylice Odrowążowej.

NAJLEPSZE NICI  
„SPECJALNE” „TRZY LILJE”

ALINA ORZECHOWSKA

## WIGILJA NA SŁUŻBIE

Wigilja... najśliczniejsze słowo, które napełnia serce ciepłem wzruszeniem, przywodzi na myśl najlepsze, najtkliwsze wspomnienia dzieciennych lat: choinka rozjarzona światłami, zapach pieczonego ciasta, unoszący się w całym domu, św. Mikołaj z białą brodą, z workiem pełnym tajemniczych cudów, dobry, niezapomniany uśmiech matki, dzielącej opłatek. Potem pasterka w kościele, co w wigilijną noc staje się całkiem inny niż zwykle — bardziej uroczysty, roztopiony w gorejącym blasku świec, rozkołysany śpiewem kolendy, bijącej pod niebo — Bóg się rodzi...

Różne potem przychodzą wigilje, radosne i smutne — a gdy odchodzi na zawsze ktoś z najbliższych — w wigilijny wieczór najbardziej boli osierocone serce, najdotkliwiej odczuwa ból samotności. Wigilja, to święto rodziny, które posiada czarodziejską moc jednania zwaśnionych, przynosi zapomnienie uraz, w szarzyźnie codziennego domowego życia wnosi promień nadziei, przegasa uczucia rodzinne roznieca nowym blaskiem z jałowej powszedniości wydobywa zapomniane wartości duszy i serca: miłość wzajemną, mocne poczucie węzłów rodzinnych, wyrozumiałość, tkiwość, łagodność, chęć czynienia dobrego.

Łagodny, złoty blask wigilijnej gwiazdy zsyła na ziemię dobro i pocieszenie, wlewa w serca otuchę i napełnia je jedną serdeczną myślą — jak świat długi i szeroki. Troski i kłopoty, dokuczliwe cierpienia życia stają się mało ważne, nieistotne, zapadają się w otchłan niepamięci.

Lecz nie wszystkim dane jest spędzić wieczór wigilijny w sposób czyniący zadość tradycji. Życie, rwące naprzód burzliwą falą nieoczekiwanych wydarzeń, nie ustaje w swym biegu nawet przez krótkie godziny wigilijnego wieczora — zgrzytliwe tryby wielkiej maszyny, jaką jest świat, nie zatrzymują się w szalonym pędzie ani na chwilę. Na zwrótnicach ludzkich przeznaczeń czyha zawsze zło i występki, czai się złowrogo nieszczęście, przypadek, który nie zna ograniczeń w czasie.

Ci, którzy stoją na straży ludzkiego zdrowia i bezpieczeństwa nie mają prawa zapomnieć o swych obowiązkach nawet w wigilijny wieczór. Musi i obowiązek silniejszy są od tradycji, gdy życie wzywa na posterunek...

Komisariat policji. W czterech ścianach dyżurnej izby, rozgwarzonej zazwyczaj głosami aresztantów, jęklwym bełkotem pijaków i twardą, ostrą komendą komisarza policji — dziś, w wigilijny wieczór panuje cisza; cyka tylko jednostajnie, miarowo zegar.

Przy stole siedzi dyżurny przodownik. Oparł głowę na rękach, pogrążony w niewesołych myślach. W tym tygodniu nic mu się nie wie dzie, ukoronowaniem wszystkich niepowodzeń stał się ten dyżur wyznaczony na wigilijny wieczór.

W domu zaściela się już pewnie biały obrus, żona i dzieci łamią się opłatkiem.

— Pomyślmy wtedy o tatusiu — zapewniali malcy. Kochane dzieciaki — rozrzewnia się przodownik. Też pech, żeby akurat dziś mieć dyżur — psiakrew!

Zaklął, ale jakoś wstyd mu się zrobiło. Jakże to? w wigilijny wieczór, w świętego Dzieciątka narodzenie przeklinać? Poczł się skruszony i zawstydzony wobec samego siebie.

Uchyliły się drzwi. Wszedł posterunkowy, rozcierając zmarznięte uszy.

— Co nowego?

— Cisza na mieście, panie przodowniku. Tylko jednego pijaka przyłapałem na Marszałkowskiej, jak się awanturował, więc go przyprowadziłem.

— Dawać go tu!

Posterunkowy wyszedł i za chwilę do pokoju woczył się chwiejnym krokiem zapijaczony, podejrzązany typ. Opadł ciężko na ławę, z ust toczyła mu się piana, bełkotał coś, czego nie można było zrozumieć.

— Jak wytrzeźwieje, to pogadamy — mruknął przodownik.

Mijały jeden za drugim niecznośnie powoli kwadranse. Na wieży wybiła jedenasta. Przodownik podrzemmywał, budząc się od czasu do czasu, gdy pijak bełkotał głośniej, lub zrywał się do odejścia.

Z niewyraźnego dotąd bełkotu pijaka zaczęły wylańać się pojedyncze słowa: — ...Uważasz, bracie... tego... nalejno, Józiu, jeszcze kieliszek... za te wigilje... he... wypijemy, co się po psiemu spędza... co?... .co?... eee... wódeczka... dobra...



Przodownik zamyslił się głęboko. Kto wie, co ten człowiek przeżył, zanim doszedł do takiego upodlenia i nędzy? Kto wie? On sam jest o tyle od niego szczęśliwszy — choć na służbie wigilję spędza, nie w domu. Jutro zato ma prawdziwe święto, suto przez żonę wyprawione, przyjdą krewniacy, znajomi, zapali się choinkę. A ten pijak nieznanomy o mętne, zalawionem spojrzaniu gdzie pójdzie? do kogo? Dobrze mu nie jest pewnie na świecie, skoro zalewa robaka w samą świętą wigilję, w Panajezusowe Narodzenie...

Na biurku zaczyna dzwonić telefon. — Halo? Czy komisarjat policji? Proszę natychmiast...

\* \* \*

Pogotowie lekarskie. Młody doktor w białym kitlu porządkuje buteleczki w szafce z lekarstwami; od czasu do czasu wygląda oknem, wpatruje się w białe płateczki śniegu, spadające powoli, bezszelestnie za szybą.

Doktor jest nieżonaty, niema bliskiej rodziny, w której gronie mógłby spędzić wigilijny wieczór. Siedziałby i tak sam w swym kawalerekim pokoiku, ofiarował się więc zastąpić kolegę na dyżurze — tamten ma żonę, dziecko — niech tam!

Serdeczny, wdzięczny uścisk koleżeńskiej dłoni, trzask drzwi i echo oddalających się szybko kroków na schodach — i jest oto sam, zapomniany, skazany na włokące się bez kresu godziny nudy i żalonych rozmyślań, że inni... przy choince... przy kolendach... roześmiani, radośni...

Doktor zatapia się we wspomnieniach dziecięcych lat. Dziwne, jak wyraźnie, dotykalnie niemal widzi szare, dobre oczy matki, czuje zapach świerkowej choinki, przyniesionej przez wąsatego fornala prosto z lasu, razem ze śniegiem na gałęziach „dla panicza” — oczka w głowie całego dworu.

A teraz? Twarde, bezlitosne życie, zapach lekarstw i jęki chorych od świtu do późnej nocy. Najcięższe godziny służby w pogotowiu, gdzie nie praca i śmiertelne zmęczenie przeraża, ale ogrom ludzkiego cierpienia, boleści niewysłowionej, bijącej z oczu niema skargą.

Otruta ługiem... jodyną... esencją... skok z piątego piętra, — poszarpane strzępy ludzkich ciał, roztrzaskane czaszki, rozpacz, tragedje straszliwe, o których nie wie właściwie nic.

Dyżur w wigilję w pogotowiu może najgorszy. Wybuch żalu i zniechęcenia do życia silniejszy jest w święty wieczór, myśli samobójcze dręczą nieszczęśliwych dotkliwiej, nieustępliwiej niż zwykle, naprężone do ostatnich granic nerwy nie wytrzymują ciężaru wspomnień bolesnych, jęczących; nędza, nieszczęście, osamotnienie potężniej godzi w serce — gdy cały świat jest cichy, zatopiony w uszczęśliwieniu. Szaleństwo kładzie w dłoń rewolwer, butelkę z trucizną — skończyć ze sobą, byle nie myśleć! — Boże! nie myśleć, nie wspominać...

Doktor był młody, wrażliwy, umiał czytać w oczach ludzkich, zamglonych bólem, razem z niedoszłymi samobójcami, lub ofiarami wypadku przeżywał ich odgadwane intuicyjnie cierpienia.

I dziś nie żałował, że przyjął dyżur. Bo może w ten wigilijny wieczór ktoś bardzo nieszczęśliwy i samotny na świecie załamie się i... Może będzie komuś potrzebny ratunek i pomoc już, natychmiast — wtedy on znajdzie się w porę z lekarskim lancetem, sondą czy jodyną, uratuje gasnące życie w tę noc, która jest symbolem triumfalnie budzącego się Życia — ducha i ciała.

\* \* \*

I jest jeszcze ktoś inny, wrażliwy na ludzkie cierpienie, ktoś, kto czuwa niezmiennie w dzień i w nocy przy łóżku chorego. To siostra zakonna — słodycz i dobroć wcielona, biała postać, niosąca ukojenie w najgorsze godziny, którą pamięta się później — po wyjściu ze szpitala nieraz przez całe życie.

W samą wigilję nie opróżniają się przecież łóżka szpitalne, ciężko chorych nie można przenieść w „drodze wyjątku” na ten jeden świąteczny wieczór do domu. W sali szpitalnej leżą więc chorzy — bardziej niż zazwyczaj kapryśni, rozżaleni na cały świat. Siostra pielęgniarka musi łagodzić rozdrażnionych łagodnym, odpowiednim słowem, w samą wigilję — gdy inni siedzą przy wigilijnym stole, ona — uosobienie poświęcenia i miłości bliźniego — zmienia jeden za drugim opatrunki, szykuje zastrzyki, mierzy temperaturę, podaje lekarstwa. Z serdeczną troską i niepokojem wpatruje się w rozgorączkowane oczy, wykrzywione grymasem bólu usta.

Nie myśli o „swojej” wigilji — dla niej szczęściem jest nieść pomoc i ulgę cierpiącym i potrzebującym — dla cichej, pokornej, ofiarnej siostry miłosierdzia to jest najpiękniejsza wigilja.

\* \* \*

Błyskają zdaleka, jak ślepia potwora, żółte latarnie lokomotywy. Pociąg pędzi w nieprzeniknioną ciemność, wdziera się miarowym stukotem kół w ciszę wigilijnej nocy.

Maszynista usmolony, w poczernionej sadzami i smarami bluzie, kieruje pociągiem pośpiesznym Warszawa — Kraków. Skupiony, pochłonięty całkowicie swem zadaniem, patrzy prosto przed siebie, uważnie, bystremi oczami usiłuje przebić otaczające ciemności. Nie myśli o wigilji, o oddalającym się za każdym stuknięciem kół domu rodzinnym. Zamiast rozjarzonych światełek choinki, migocą mu przed oczami świetlne sygnały ostrzegawcze — białe, czerwone, zielone.

Na dworze grudniowy mróz i śnieg — tu piekło rozpalonych kotłów i maszyn, gorąc buchający zewsząd, ogłuszający warkot, syk uchodzącej pary. Trzeba uwiijać się szybko, podsycać ogień pod kotłem, dosypywać węgla, ocierając kroplisty pot z czoła. Nie wolno zamysleć się ani na chwilę — oddawać się marzeniom, wspomnieniom — maszynista wiezie przecież dziesiątki ludzi, którzy — jak on — nie mogą z różnych przyczyn spędzić wigilji w domu — bo pecha ich naprzód jakaś nieubłagana konieczność. Trudno — życie nie czeka...

Maszynista pociągu pośpiesznego zna swój obowiązek. Rozumie odpowiedzialność, jaką ponosi za pasażerów, którzy powierzają się jego niewidzialnej opiece, ufni, że ich nie zawiedzie. Nie wolno myśleć o niczem — trzeba być jeszcze jednym trybem poruszającej się maszyny, regulować jej bieg, by nie spóźnić się ani minuty. Opóźnienie może oznaczać katastrofę. Może zderzą się dwa biegnące naprzeciw pociągi, lub umrze pacjent, nie doczekawszy się lekarza, śpieszącego doń koleją z innego miasta...

I jeszcze wielu, wielu takich maszynistów, nocnych strażników, wartowników, telegrafistów, telefonistów, lekarzy, policjantów — cała bezimienna armja szarych ludzi pracy tkwi w wigilijny wieczór na posterunku, pełni bez szemrania swą codzienną, twarzą służbę. Tak trzeba. Bowiem losy ludzkie splatają się dziwnie między sobą, obcy ludzie zależą wzajemnie od siebie i bez siebie obejść się nie mogą. Jedni drugim służą bezimiennie, ponoszą ofiary i poświęcenia — bo wszyscy stanowią przecież jedną wielką rodzinę świata.



ALEKSANDER JUNOSZA-OLSAKOWSKI

## W MIEŚCIE

Zatrzaśnięto drzwiczki wagonów i pociąg ruszył z wolna, opuszczając rzęsiście oświetlony główny dworzec warszawski. Setki białych chusteczek wysunęły się ku nam z gestem pożegnania. Czerwone światełka semaforów mignęły w oknach na krańcu stacji i pociąg pograżył się w ciemność nocy.

Jedziemy do Paryża. Cel podróży rozplomięniał każdego z nas, była to bowiem wycieczka Polaków, którzy jeszcze nie widzieli Francji. Każdy tedy wyobrażał sobie cuda, jakie będzie oglądał i odczuwał już przedsmak turystycznych rozkoszy.

Należało jednak pomyśleć o wygodnym rozlokowaniu się na noc, mieliśmy bowiem przed sobą trzydzieści godzin jazdy. Organizator wycieczki, sprężysty „Orbis”, nie mógł jednak zapobiec dopływowi pasażerów na innych stacjach i skutkiem tego nie można było myśleć o przespaniu nocy w pozycji leżącej. Usłużny konduktor, zapytany w tej sprawie przeze mnie, rozłożył bezradnie ręce, poczem nagle zamysłił się i, rzuciwszy krótkie słowo „spróbuję”, puścił się biegiem i zginął mi z oczu w końcu korytarza. Po kilku minutach zjawił się przede mną i dość spojrzeć było na jego minę, by stwierdzić niepowodzenie.

— Drań, psiakrew! — mruknął pod nosem — chorobstwo!

Zaciekawiony temi przewiskami, zapytałem co ma na myśli.

— Myślałem, że panu pomogę! — odparł — jedzie pan z żoną! Kobieta, wiadoma rzecz, słaba i musi wypocząć, a tam jest mały przedział na dwie osoby zajęty przez bolszewika, który jedzie z Moskwy do Paryża. Przedział zajęty drogą dyplomatyczną. Tłumaczyłem mu, że jedzie sam i młody jest i zdrów jak tur, a ten trzęsie głową i śmieje się!

„Ludzie, którzy się śmieją, nie są źli” — powiada przysłowie arabskie. W myśl tego przysłowia poprosiłem konduktora, aby mnie zaprowadził do bolszewika.

Na pukanie nasze otworzyły się drzwi i przede mną stanął z bukiem w rękę młody, barczysty blondyn z ogorzałą twarzą i dobrmi

## SZALEŃSTW

oczyma. Był w spodniach i koszuli, zabierając się widać do spania.

Przedstawiłem się i w odpowiedzi usłyszałem nic nie mówiące nazwisko i tytuł inżyniera. Władając biegle językiem rosyjskim, wyjaśniam mu swą prośbę. Odparł natychmiast z wielką uprzejmością, że konduktora nie mógł zrozumieć, bo ten mówił po polsku i że natychmiast swój przedział gotów jest odstąpić, zajmując nasze miejsce.

Jechaliśmy tedy nader wygodnie, nie odczuwając uciążliwości podróży. Z bolszewikiem spotykaliśmy się często na korytarzu, kiedy w ciągu dnia przyglądał się stacjom niemieckim. Naturalnie czułem się w obowiązku wszczać z nim kilka razy rozmowę, zwłaszcza iż człowiek ów wywierał miłe wrażenie swoim wyglądem. Zapytany, poco jedzie do Paryża, odparł, iż po ukończeniu studjów na politechnice w Leningradzie musi dopełnić studjów we Francji, ponieważ żadne miasto na świecie nie posiada tylu środków pomocniczych dla nauki i sztuki co Paryż. Z entuzjazmem opowiadał mi o bibliotece narodowej, liczącej trzy miliony tomów i sto tysięcy rękopisów, a wprost z zachwytem wyrażał się o zabytkach sztuki w Louvre. W trakcie rozmowy język rozwiązywał się nam coraz bardziej i w końcu zesłaliśmy na tory polityczne. Wtedy nie wytrzymałem:

— Czemu u was żydzi rządzą i zajmują odpowiedzialne, wysokie stanowiska?

Spojrzał na mnie spod oka i uśmiechnął się.

— A jak u was w Polsce? — zapytał.

Zamilkłem i dopiero po chwili odparłem:

— Udał się panu dowcip, niestety! Ale ciekawy jestem, czy kwestja żydowska jest wogóle brana pod uwagę w narodzie rosyjskim?

— Serdecznie ich...

— Rozumiem! — dokończyłem za niego, ponieważ urwał nagle, poczem obaj uśmiechnęliśmy się porozumiewawczo.

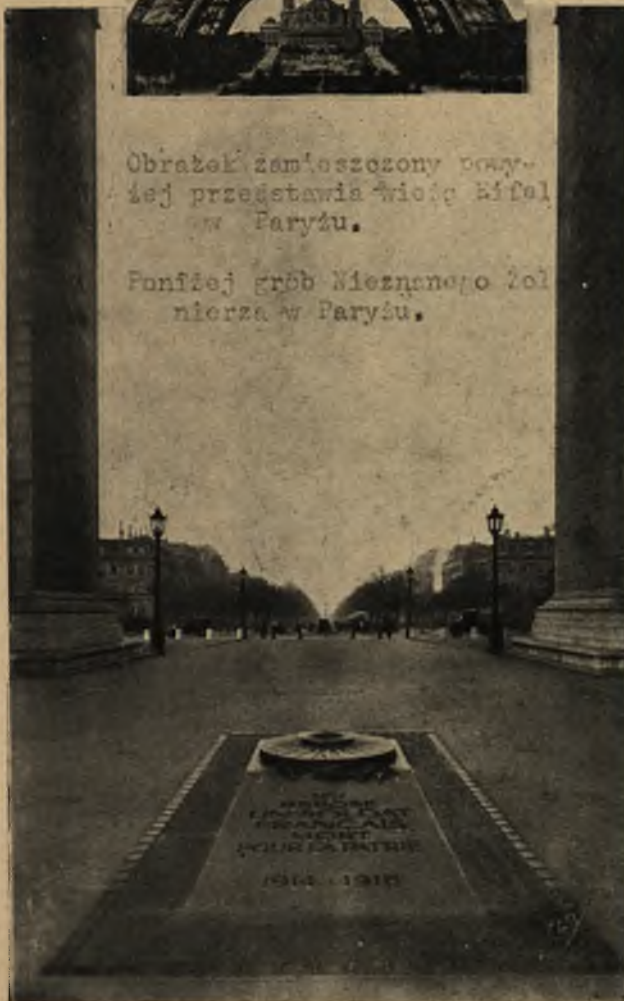
Tymczasem krajobrazy zmieniały się powoli. Minęliśmy Berlin, zmierzając ku granicy belgijskiej.

Wogóle krajobraz Niemiec jest smętny i osowiały. Do-



Obrzeźek zamieszczony powyżej przedstawia wieżę Eiffel w Paryżu.

Poniżej grób Nieznanego Żołnierza w Paryżu.





my w miastach i miasteczkach długie, szerokie i niskie. Charakter koszarowy. Styl ciężki jak ołów. Ani za grosz piękna i radości.

Podczas drugiej nocy minęliśmy Belgję i po- ciąg nasz wjechał na ziemię francuskie, a wtedy, jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej, wszystko się odmieniło. Strzeliste wieżyczki, wszystkie domki o charakterze średniowiecza, szo- sy wijące się wśród łąk, srebrne wstęgi rzeczutek, ulice i uliczki nacechowane były lekkością i pięknem. Poprostu budziły uśmiech i przyciągały ku sobie.

Wreszcie ze zgrzytem hamulców i ciężkiem sapaniem lokomotywy wjechaliśmy na dworzec pónocny Paryża. Sam dworzec czyni wrażenie nader ujemne. Jest brudny, brzydki i ogromny. Pasuje raczej na rupieciarnię, na skład smelcu żelaznego, na cmentarz lokomotyw wycofanych z linji, lecz nie na paryski dworzec.

Na ulicy pochłonał nas wir taksówek i auto- busów. Nasze auto z trudem torowało sobie drogę. Szalone tempo życia i wogóle przyrodzo- na żywość Francuzów daje w sumie obraz wście- kłej gonitwy. Wydawałoby się, że katastrofy dzie- ją się tu co minutę, a jednak....

Jednak szoferzy paryscy lepiej jeżdżą od swych kolegów warszawskich. Na niektórych na- wet rogach ulic niema policjantów. Publiczność sama reguluje ruch. Poprostu ktoś podnosi rękę, na jezdni ruch zamiera i wszyscy spokojnie przechodzą.

Pierwszym naszym krokiem było zwiedzenie Notre-Dame. Ogrom tego kościoła poprostu oszałamia. Potężne filary, których czterech lu- dzi, ująwszy się za ręce, nie zdołaloby objąć, gi- ną gdzieś w łukach sklepień na niebotycznej wy- sokości. Wspaniałe, olbrzymie witraże w kształ- cie gwiazd, olśniewają rysunkiem i barwą. Główny ołtarz surowy w swej prostocie i czerni, onie- śmiela swą okazałością.

Wieża Notre-Dame podlega obecnie grun- townemu remontowi. Zdjęto z dachu rzeź- bę koguta i w obecności księdza Lenoble i archi- tekta Grunet wyjęto zeń pozłacaną, miedzianą szkatułkę.

W szkatułce tej znaleziono portrety dwóch patronów Paryża, świętego Dionizego i świętej Genowefy. Portrety te były zawinięte w papier i opieczetowane pieczęcią arcybiskupa. Ponieważ zaś jedna strona szkatułki szcwasem odskoczyła, portrety te zamieniły się w pył i tylko z trudno- ścią dało się odcyfrować na pozostałym kawałku papieru imiona świętych.

Znaleziono w szkatułce jeszcze szczątki pa- pieru, ale odcyfrować je jest niepodobieństwem. Prawdopodobnie jest to akt z roku 1860, kiedy ostatnio umieszczono koguta na wieży.

Z Notre-Dame udaliśmy się na grób Niezna- nego Żołnierza (znajdujący się pod arką trium- falną, zbudowaną za czasów Napoleona I na roz- kaz cesarza). Na marmurowej tablicy grobu widnieje napis: „tu spoczywa żołnierz francuski,

*Pierwsza ilustracja od góry wyobraża operę paryską. Druga widok na Caffe-four Drouot.*

*Trzecia ilustracja przedstawia wspaniałą most Aleksandra III-go nad Sekwaną.*

*Wreszcie czwarta pełną urokiem i tajemniczości kolum- nadę w parku Monceau.*

umarł dla ojczyzny". Czytającemu te słowa, mimowoli przychodzi na myśl inne groby nieznanymi żołnierzami we wszystkich stolicach świata. Słowa te, tchnące prostotą, zawierają dramat łez i krwi! Każdy z tych bohaterów umarł za ojczyznę w przekonaniu, że bronił słusznej sprawy. A cóż uczyniono z jego strasznej ofiary? Oto znów mamy wojnę, a szykuje się jeszcze gorsza zawierucha. Będą ludzie mrzeć tysiącami, wkradnie się głód, nędza i rozbój. Jakżeby się wówczas chciało widzieć we wszystkich stolicach świata pomniki, na których złotymi literami ręka ludzka wypisałaby przepiękne słowa, pełne boskiej mądrości:

— NIE ZABIJAJ!

Podobne refleksje przychodzą również do głowy kiedy zwiedzamy Louvre. Pod filarami wzdłuż biegnących krużganków, a nawet na dziedzińcu leżą na ziemi potężne i groźne lufy armat. Są to raczej prababki naszych nowoczesnych narzędzi mordu, któremi ludzie zazwyczaj wymierzają sobie tak zwaną rację stanu lub sprawiedliwość dziejową.

Prababki te armatnie wywołują powszechne zainteresowanie zwiedzających. Spojrzawszy na nie, pomyślałem sobie, że upłynie dziesięć lat i na ich miejscu staną nowoczesne armaty z napisem na wylotach luf:

— Precz z wojną! Walczmy tylko gazami!

Będzie to zapewne bardziej „humanitarne” i „sprawiedliwe”.

Po zwiedzeniu Louvre postanowiliśmy udać się do letniej rezydencji królów francuskich, a mianowicie do Wersalu. Z dworca Inwalidów, którego perony znajdują się w podziemiach, jedzie się do Wersalu dwadzieścia minut elektryczną koleją.

Przepiękny i ogromny park wersalski jest parkiem przeszłości historycznej. Niegdyś oświetlony był blaskiem gronostajów i purpur królewskich, prowadząc żywot bogaty i beztroski. Tam spotykały się koronowane głowy, tam odbywały się zabawy i dworskie przyjęcia, tam w cieniu olbrzymich drzew i posągów helleńskich układano plany polityczne i zawiązywano nowe intrygi. Często słówko zręcznie w porę powiedziane, uśmiech warg ponsowych pięknej damy decydowały o karierze innych ludzi lub obalały potężnych ministrów. Zdawało się również, że jakaś sprawa, której nie można było posunąć przez długie lata, dzięki dowcipnemu orędownikowi, załatwiona była jednym pociągnięciem królewskiego pióra.

Nikt nie czytał „nudnych” memorjałów ani też nie odważał się myśleć o nich. Nie wolno było zanudzać króla. A potem przyszły czasy Wielkiej Rewolucji. Wersal zadrżał. Ponure postacie Dantona, Robespiera i Marata stanęły niby *memento mori* przed oczyma przerażonych dworzan. I popłynęła strugami krew, a powietrze rozdarło się jękiem rozpacz.

Pierwsze zdjęcie od góry: więzienie paryskie.

Drugie: kościół Notre-Dame i jego okolice z perspektywy.

Trzecie zdjęcie przedstawia słynny pałac Inwalidów, w którym ostatnio odbywała się światowa wystawa automobilowa.

Na dole pawilon de Marsan.



Minęły lata. Koło historii obróciło się znowu. Dziś po ścieżkach królewskiego parku biegają dzieci i przechadzają się dorośli. Każdemu wolno wejść. A pałac zamieniono na muzeum. Chodzą ludziska po komnatach królewskich i kiwają głowami ze zdumienia. Wspaniałe łoża z baldachimem, przecudne kobierce, inkrustowane złotem i kością słoniową stoły, mozaiki, brzozy i kryształy robią wrażenie baśni.

Zwiedzając wszystko, przechodzimy do t. zw. Trianon, gdzie znajdują się wozownie historycznej wartości. Stoi tam między innymi kilkanaście karet szczerozłotych. Zwłaszcza jedna zdumiewa ogromem i bogactwem. Jeździł nią kiedyś król Karol XI. Koła ze złotymi obręczami wielkie są na dwa metry. Pudło zewnątrz obite blachami ze złota i pięknie rzeźbione, wewnątrz aksamit i jedwab. Dach w kształcie olbrzymiej korony z herbami Francji i królewskiego domu. Wszystko ze złota. Nawet dyszel złotem okuty. Kosztowało to na owe czasy jeden milion dwieście tysięcy franków! A lud marł z głodu i nędzy!

Niedaleko wozowni znajduje się mały ogród Marji Antoiny, królowej francuskiej.

wę pod gilotynę. I wówczas — jak powiadają Francuzi — nastąpiła zgoda.

Przepiękne są panoramy Paryża. Pięknym jest również widok na most Aleksandra, który zbudowali paryżanie na cześć jednego z carów moskiewskich, Aleksandra III, kiedy ów przybywał do Paryża. Ale najpiękniejszym jest widok bazyliki Le Sacre Coeur, do której, prócz schodów, prowadzi specjalna kolejka żębata.



*Bulwar de la Madeleine i pełna czaru baśniowego fontanna medycejska.*



Stoi tam kilkanaście domków, każdy wielkości chłopskiej chałupy.

Pytam się, kto w nich mieszkał dawniej. Okazuje się, że... kury! Królowa lubiła niezmiernie hodować i karmić kury. I działo się to w tych czasach, kiedy chłop nie miał dachu nad głową!

Po powrocie do Paryża poszliśmy następnego dnia na plac Bastylji, gdzie obecnie stoi posąg wolności. Tu się zaczęła rewolucja, kiedy zbuntowany tłum zdobył i zburzył fortecę, wypowiadając królowi nieposłuszeństwo. Zaś na placu Zgody, król musiał dać swą głó-

Wszystkie wspaniałe gmachy i place są wieczorami mocno oświetlone reflektorami. Wogóle Paryż pod względem reklamy świetlnej zajmuje pierwsze miejsce na kuli ziemskiej. Po powrocie do Warszawy wydało nam się, że na ulicach panują nieprzeniknione ciemności. Nie brak jednakże w Paryżu poza rozległymi bulwarami i placami wąskich i ciemnych uliczek, w których zamieszkuje uboga ludność.

Pewnego dnia wybraliśmy się na wieżę Eiffla, słynną ze swej trzystometrowej wysokości i konstrukcji żelaznej. Wybudowano ją podczas jednej z wystaw światowych w Paryżu. Kiedy znaleźliśmy się u jej podnóża, ogrom wieży przytłoczył nas zupełnie. Wjechaliśmy windą na trzecie piętro, to jest bezmała na sam wierzchołek. Widok stąd na Paryż czarujący i... straszny. Największe gmachy wyglądają jak pudełka zapalek, a ludzie jak muchy. Przy silniejszym podmuchu wiatru wieża chwieje się lekko i drży. Dwa lata temu groziło jej nawet runięcie. Założono tedy sześć grubych

lin stalowych, których końce przymocowano do betonu, wkopanego głęboko w ziemię. Odniosłem jednak wrażenie, że w niedługim czasie rdza zje do reszty żelazo, a wówczas...

Popołudniu udaliśmy się do pałacu Inwalidów, gdzie leży w marmurowym sarkofagu syn patrycjusza korsykańskiego i Letycji Ramolino, genjalny uzurpator i pogromca Wielkiej Rewolucji, Napoleon I. Otaczają go trumny marszałków Francji i generałów z epoki na-



*Ilustracja powyższa przedstawia słynne na całym świecie z piękności schody w operze paryskiej.*

*Obok przepiękny i bogato zadrzewiony plac du Châtelet.*



poleńskiej, wmurowane w ściany pałacu. Grobowiec składa się z dwóch części: górnej i podziemnej. W górnej stoi ołtarz. W dolnej zaś, która ma kształt okrągły, stoi sarkofag z trumną cesarza. Naokoło tkwią sztandary, zdobyte w bitwach. Olbrzymią ilość wśród nich zdobyli Polacy. Więcej nawet: rzucili Napoleonowi pod nogi Hiszpanję, znacząc krwawo swą drogę zwyciężką w wąwozie Somo-Sierra. A później...

Później dostali w nagrodę ekspedycję karną do San Domingo, gdzie marli tysiącami w nieludzkich męczarniach, zadawanych przez rozbestwionych murzynów. Gdzie trapił ich głód i dziesiątkowały cholera i tyfus.

Za co wpadli w niełaskę cesarską?

Za to, że domagali się niepodległej Polski.

Dwieście kilometrów pod Paryżem znajduje się Lens. Jest to niewielkie miasteczko, które podczas wielkiej wojny było doszczętnie zburzone przez ogień armatni wojujących stron. Aczkolwiek odbudowane później, nie posiada przed sobą przyszłości, grozi mu bowiem zagłada. Naokoło miasteczka ciągną się kopalnie węgla. Otóż najbogatsze pokłady węglowe znajdują się właśnie pod miastem. Kompanja węglowa wydobywa tedy węgiel, płaci odszkodowanie i... domy się wałęsa jeden po drugim. W krótkim czasie miasto owe zniknie z powierzchni ziemi.

Za miastem w odległości kilkunastu kilometrów znajdują się rowy strzeleckie francusko-niemieckie. Długim szeregiem ciągną się tysiące worków skamieniałego cementu. Przed nimi zasieki z kolczastego drutu, pokryte rdzawymi plamami krwi. Między okopami samolot z połamanymi skrzydłami oraz olbrzymie rowy i leje po pociskach armatnich. Po lewej stronie cmentarz wojskowy i kościół. Po prawej góra gruzu, który pozostał po zbombardowaniu kościoła w czasie bitwy. Nad tą górą zaś wznosi się figura Chrystusa w wyciągniętych rękoma. Lisznie ślady kul widnieją na ciele. Jedna dłoń urwana pociskiem armatnim. Krzyż zdarty z pleców wstrząsem powietrza.

Niegdyś Chrystus wisiał nad ołtarzem w kościele. Dziś pozostał samotny, bez swego Domu. Okaleczona dłoń zda się błogosławić pobożowisku, a martwe usta z marmuru szepczą:

— NIE ZABIJAJ!

ALEKSANDER JUNOSZA-OLSAKOWSKI

4)

# DWAJ BRACIA

## Rozdział III.

Wróciwszy do domu, Antoni Reszka nie mógł długo zasnąć. Przewracając się z boku na bok na wąskim i twardym łóżku, słyszał godziny, które wybijał zegar na wieży kościelnej i pianie pierwszych kurów. Zdaleka dochodził odgłos pociągów, przystających na stacji w Hejnałowie ze zgrzytem żelaza i ciężkim sapaniem lokomotyw. Błada poświata księżycowa zaglądała do okien, kładąc tajemnicze smugi na podłodze.

Mijała godzina za godziną. Nagle Reszce wydało się, że ktoś puka do okna. Uniósłszy się na łokciu, jął nasłuchiwać.

Pukanie powtórzyło się. Wskoczywszy z łóżka, zbliżył się do okna i spojrzął. Ktoś stał na ulicy i rękomą dawa mu znaki.

Reszka zapalił świecę i ruszył ku drzwiom wejściowym.

— Co się stało? Kto tam?

— Otwórz, Antosiu! To ja, Lucjan!

Zgrzytnął zardzewiały rygiel, otwarły się drzwi i dwaj bracia uścisknęli się serdecznie.

— Boże drogi? Skąd ty tu się wziąłeś? Prędzej śmierciobym się spodziewał, aniżeli ciebie! Kiedyś przyjechał? Teraz? — zasypał brata pytaniami Antoni, pełen radości i zdumienia — chodź do pokoju, ogrzejesz się, bo tu zimno! Gdzie twoje rzeczy? Tylko jedna walizka? Zapewne oddałeś na багаż? Może chcesz pić? Przygotuję ci zaraz herbaty. Chleb jest, tylko masła niema. Są zato powidła. Czy lubisz je?

To mówiąc, Antoni krzątał się po pokoju, wbiegał do kuchni, dzwonił fajerkami, napełnił czajnik wodą, ustawił na stole szklanki i talerze i podbiegł do brata, chwytając go za rękę.

— Nic się złego nie stało, nieprawdaż? — zapytał z niepokojem w głosie.

Lucjan uśmiechnął się blade. Twarz jego wyrażała lekkie zakłopotanie. Po krótkim namyśle odparł:

— Jak widzę, nie czytasz gazet. W Warszawie wynikły małe rozruchy studenckie i w rezultacie zamknięto nam uniwersytet na przeciąg paru tygodni. Ja trochę dokazywałem i przyjechałem do ciebie, aby zejść policji z oczu.

— Bój się Boga, Lucjanie! Cóżes ty zrobił?

— Nie obawiaj się! Nic złego! Poprostu wywiązała się na dziedzińcu uniwersyteckim bójka, w której wziąłem udział. To wszystko. Kilkunastu moich kolegów zostało aresztowanych. Pozostali uciekli. Sam rektor dał nam znać, abyśmy na pewien czas wyjechali z Warszawy, a tymczasem nasi profesorowie będą interwenjowali u rządu. Cała sprawa zakończy się dobrze.

Antoni popatrzał na brata bystro.

— A ty do jakiej partji należysz? — zapytał.

Lucjan zrobił nieokreślony ruch ręką i odparł:

— Do państwowych indywidualistów.

Antoni przystanął zdziwiony.

— Cóż to jest? Nie słyszałem jeszcze o takiej nazwie.

— Jest to taka dobra partja jak każda inna. Mamy swój kierunek myślenia, swoje hasła, swoje programy, zgromadzamy się co tydzień na zebrania... — objaśnił Lucjan.

— A gdzie się zbieracie? Chyba nie w uniwersytecie?

— Jakto gdzie? W cukierni.

Antoni pokiwał głową.

— W cukierni? Jeżeli uchwały mają być istotnie ważne i doniosłe, to przyznam ci się, że miejsce wybierracie niezbyt odpowiednie.

Lucjan lekceważąco wzruszył ramionami i zapalił papierosa.

— Mój drogi! Dzisiaj najważniejsze sprawy państwowe rozstrzygają się w miejscach publicznych. A zresztą weselej jest popatrzeć na ludzi, spotykać znajomych, pogadać i pośmiać się.

— Teraz rozumiem! Wasza partja ma zapewne charakter rozrywkowy — uśmiechnął się Antoni.

— Jesteś w błędzie! Do naszych haseł odnosimy się poważnie, staramy się jednak nie robić z życia tragedji. Tak mało jest wesołości na świecie, że nie należy jej unikać. Przepraszam cię bardzo, ale zapomniałem, że ty palisz. Oto są papierosy! Służę!

— Dziękuję! Od kilku miesięcy nie palę.

— O! zdziwił się Lucjan — taki namiętny palacz jak ty, rzucił palenie? I cóż za przyczyna? Czyżby zdrowie niedopisywało?

Antoni zaczerwienił się.

— Zdrowie mam dobre, tylko... doszedłem do przekonania, że szkoda pieniądze puszczać z dymem. Tylu jest innych, którzy na chleb potrzebują lub na lekarstwo, mogące uchronić od śmierci.

Cień przemknął się po twarzy Lucjana.

— Jesteś niepoprawnym filantropem. Powinieneś żyć w biblijnych czasach. Chodziłbyś wówczas jako prorok po rozstajnych drogach ze świetlanym kółkiem nad głową, ciągnąc za sobą niezliczone tłumy głodnych nędzarzy.

Antoni słuchał tego z przykrością.

— Herbata gotowa — przerwał bratu — napij się lepiej i opowiedz mi o swoich studjach. Wiele w tym roku złożyłeś egzaminów?

Lucjan począł jeść gorliwie chleb z powidłami i wzrok utkwiał w podłozie.

— Widzisz — bąknął — z egzaminami poszło mi w tym roku nieszczególnie. Mam jednak nadzieję, że na jesieni odrobię stracony czas.

— Pół dyplomu jednak już masz?

Oczy Lucjana zabiegały niespokojnie.

— Pół dyplom? No tak! Zaświadczenia jednak nie dostałem. Są pewne formalności kancelaryjne do przeprowadzenia, które potrważą ośm miesięcy.

Antoni popatrzał badawczo na brata.

— Przed nowym rokiem pisałeś mi, że składałeś jakieś egzaminy. Studjujesz przecie trzy lata.

Lucjan zagryzł usta i obrzucił wzrokiem Antoniego.

— Bądź spokojny — rzekł — wszystko jest w porządku! W ostatnich czasach zaniedbałem się trochę w nauce, bo za dużo czasu poświęcałem kwestjom politycznym.

— Studenci nie powinni politykować — zauważył z powagą Antoni.

Lucjan zaprzeczył żywo.

— Mylisz się! Należy zamłodu zaprawiać się do trudnych obowiązków państwowych.

— Zapatrywanie takie jest błędne. Należy najpierw wykształcić się, a potem służyć sprawom ojczyzny.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# Z KSIĘGI PIELGRZYMA

## Z BOGIEM

Mam żywo przed oczyma obraz, pełen niezwykle silnych akcentów, pędzla współczesnego, włoskiego malarza.

Na samotnej, nagiej skale, którą zorały wieki i pioruny, kłęczy cień człowieka — ślepiec. Okrywają go łachmany, podarte obuwie ma na nogach, twarz wychudła, zbiedzona, niemyta. Jakiś strzęp kapelusza wala się u jego nóg na głazach. Dwa puste oczodoły ślepca patrzą beznadziejnie w mroczną dal, co idzie hen, w nieskończoność. Choćby nie wiem jak wysilił swój zamarły organ wzroku, nic mu to nie pomoże.

I tak się męczy sam, opuszczony, bezradny...

Ale dłonie ślepca szukają ratunku, wyciągają się przed siebie. Jedną ręką namacała drzewo krzyża, stojące tuż obok i sięgające w niebo ze szczytu skały. To mu dodaje otuchy. Mimowiednie i druga ręka chwytą za trzon krzyżowy. Pod smutnymi oczodołami wyraz twarzy się rozjaśnia, rozpadają się złośliwe rysy. Odnalazł źródło siły i pomocy. W krzyżu zbawienie... Chrystus odtąd mu będzie światłem, przewodnikiem, pociechą. Jemu zaufa... On go nie zawiedzie, nie opuści, pójdzie z nim i przeprowadzi przez otchłanną, mroczną dal...

Nie wiem, co myślał malarz, wyczarowując na płótnie postać ślepca, skałę i krzyż, rozcinający błyskawicami ramion mrok otchłani. Czy chciał przedstawić tylko zwykłego ślepca, szukającego oparcia w Bogu, czy też wielkiego ślepca, ludzkość współczesną. Wszystkie rządy i narody, jakby ociemniałe w swej dziejowej drodze, otoczone mrokami otchłannej nocy, nie wiedząc, dokąd się udać, czego szukać, jakiemu przewodnikowi zaufać...

Rok nowy, w który wkraczamy, możemy podobnie odmalować. Niewielka to przyszłość, zaledwie 366 dni, ale ten krótki okres czasu jest dla każdego z nas otchłanią, pełną mroków o zasięgu nam nieznanym. Zawsze jakiś trwoźny dreszcz owłada nami na myśl — co nam nowy rok przyniesie? Ludzie, co prześlizgują się po powierzchni życia, witają go tańcem, pieśnią, zabawą, muzyką i winem, jakby na znak, że tego tylko się po nim spodziewają. Wesela, radości i szczęścia... Ale ci spośród nas, co już więcej lat przeżyli, którzy wiedzą z doświadczenia, że życie ludzkie nie jest igraszką, patrzą w nowy rok, jakby przez gęstą mgłę, witają go z zadumą na czole, troską w sercu: „Nowy Rok? — Czy wrogiem nam będzie, czy druhem?”

Nie znając ciemnej przyszłości przed nami, musimy naśladować owego ślepca, który w ciemnej otchłani, na samotnej skale obejmuje ramionami krzyż. W otchłani przyćmioną Nowego Roku iść winniśmy według wskazówek starego hasła — z Bogiem!

Nakazywał nam Chrystus, abyśmy wszyscy zwracali się do Ojca w niebie. Nakazywał nam Chrystus, abyśmy w życiu czuli się, jak dzieci Jego. I obiecywał nam, że wtedy jeden włos nie spadnie z głowy naszej bez wiedzy Stworzyciela. Wszystkie są bowiem — upewniał — policzone...

Każdy kto wiernie stosuje się do tej woli Jezusa Chrystusa, poczuje na sobie niebawem błogosławione i słodkie jej skutki. Uczuje się naprawdę szczęśliwy, jak dzieci.

Dlaczego dzieci czują się tak pogodni, weseli, szczęśliwi? Bo w najgłębszym podłożu ich psychiki króluje to uszczęśliwiające przeświadczenie: — Nie je-

stem samo. Ja żyję z tatusiem, z mamusią. — Siły dziecka zawodzą bardzo często, ale to nic a nic go nie przeraża. Ze mną jest tatuś i mamusia — oni zarządzą złemu...

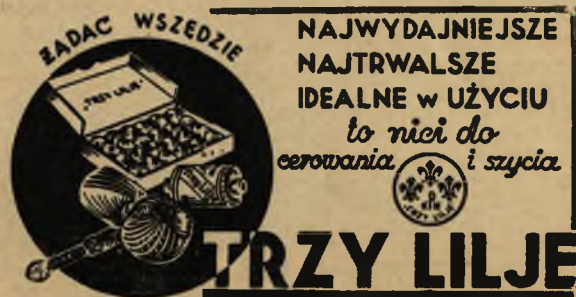
Ta sama psychologia spoczywa w najgłębszych złożach jestestwa i w nas dorosłych. Natura nasza jest nastawiona społecznie. Arystotelesowskie określenie człowieka, że jest to „animal sociale” — zwierzę społeczne — sprawdza się na każdym z osobna. Rozpacz nas ogarnia, ilekroć czujemy się sami, osamotnieni, pozbawieni oparcia w otoczeniu. Potrzebujemy innych, koniecznie potrzebujemy iść przez życie z kimś. A to dlatego, że siły nasze największe, najbystrzejszy rozum, najgenialniejsza intuicja, jednak się kończą i w pewnych piorunowych chwilach życia same nie wystarczają. Musimy wtedy mieć pomocnika i pomoc.

Stąd ludzie łączą się z ludźmi, wiążą się z kimś i najściślej wziętymi, aby iść przez życie zawsze z „kimś” drugim, aby zaspokoić tę społeczną próżnię swego „ja”. Gdy ją zapełnią, gdy znajda druha, przyjaciela, towarzysza, uspokajają się w głębi duszy, w podświadomości, jak dziecko. Mówią sobie: — Nie jesteśmy sami. Ciężar trosk życiowych rozkłada się wówczas na kilka bark i staje się lżejszy, łatwiejszy do podźwignięcia, a człowiek czuje się szczęśliwszym.

Towarzystwo ludzkie, współzycie i współpraca innych, równych nam ludzi, wystarcza nam, ale tylko w czasie... w zakresie doczesności. Tymczasem w głębinach jestestwa naszego wibruje zagadnienie bytu, domaga się załatwienia. Kładzie się na barki duchowe człowieka wieczność i mówi groźnie: „Podźwignij mię!” I widzi człowiek z przerażeniem, że dźwigać musi sam, bezwzględnie sam! Najbliżsi i najdrożsi, najsilniejsi i najgenialniejsi, wodzowie i bohaterowie ludów, wobec tej troski jego usuwają się bezsilni. Ludzie mogą najwyżej obietnicami, które pod pręgierzem grobu rozwiewa się, jak mgła. A człowiek widzi i rozumie, że tu najbardziej potrzebuje nie być „sam”. Musi mieć pomoc i pomocnika. Musi, bezwzględnie i koniecznie, bo wie, czuje, że to nie mrzonka, nie zachcianka, nie kaprys wobraźni, ale najrealniejsza, twardy, jak samo prawo bytu, postulat jego natury ludzkiej.

I wówczas to zbliża się do niego Kościół i mówi: Ja cie zaprowadzę i oddam towarzyszowi zaufanemu, na którego barki przerzucisz swe troski i trudy. Nie będziesz sam, ale pójdiesz z Nim. Drożowskajem do Niego — krzyż. Pójdiesz przez życie — rok za rokiem — pogodny, wesół i nawet szczęśliwy, bo pójdiesz — z BOGIEM!

Jan Czar.



ZADAC WSZEDZIE

NAJWYDAJNIEJSZE  
NAJTRWAŁSZE  
IDEALNE w UŻYCIU  
to nici do  
cerowania i szycia

TRZY LILJE



# NA FALACH CZASU

## Z POLITYKI

*Świat jest za ciasny.*

Wojna włosko-abisyńska toczy się nie tylko w Afryce, ale i przy zielonych stołach dyplomatów. Tu do ataku prowadzi Anglja, która zmobilizowała cały aparat międzynarodowej t. zw. sprawiedliwości, uosobionej w niedołężnej Lidze Narodów, i straszy nim Włochów. Wysuwa się pytanie, czy Anglja jest bezinteresownym rzecznikiem sprawiedliwości międzynarodowej? — Wiemy dokładnie, że jest największą potęgą kolonialną świata i że w dziedzinie polityki kolonialnej nie znosi ona niczego, coby sprzeciwiało się jej interesom. Włochy nie chcą przeprowadzić żadnych światoburczych planów, chcą prosto zdobyć trochę ziemi na terenach egzotycznych, by swej rosnącej ludności zapewnić lepszą egzystencję. — A trzeba przyznać, że od lat kilkudziesięciu Włochy napróżno usiłują otrzymać swój udział w terenach kolonialnych. — Anglja jak i Francja rozporaz przeskadzały ekspansji kolonialnej Włoch. To sprawiło, że Włochy weszły do trójprzymierza z Niemcami i Austrią. — Porzuciły je cprawda podczas wojny, na skutek obietnicy, że przy podziale kolonij niemieckich otrzymają swoją część. — W rezultacie nie otrzymały nic. I dlatego dziś z orężem w ręku postanawiają osiągnąć to, co im tyle razy przyrzekano, a czego nie dotrzymano. — Włochy zresztą wobec zarzutu, że wyciągają ręce po cudze, dziś mogą się pochwalić przejściem na ich stronę zięcia samego negusa, rasa Gugsy, który chętnie poddał się Italji i w niej widzi oparcie dla swej ojczyzny, no i oczywiście siebie samego. — Co zatem idzie, również i ze stanowiska abisyńskiego istnieją dwa punkty widzenia: jeden za Włochami, a drugi przeciw.

*Lew z masonską kielnią.*

W tej mobilizacji opinji świata przeciw Włochom angielski imperjalizm znalazł się na jednej płaszczyźnie z komunistycznym „humanitaryzmem”, a lew brytyjski żongluje argumentami spod znaku młota bolszewickiego i masonskiej kielni. Świetne uwagi na ten temat wypowiedział jeden z francuskich dziennikarzy. Mówi on: „Ludzie, którzy nie chcieli w swoim czasie bronić wiosek i rodzin francuskich przed inwazją niemiecką, są teraz gotowi wznieść pożar w całym świecie w obronie lepiank murzyńskich w dzikiej Etjopji. Doktrynerzy nie uważali za potrzebne żądać sankcyj przeciwko Niemcom, gwałtującym traktaty pokojowe, ani przeciwko Rosji sowieckiej, niszczącej Gruzję lub atakującej Chiny, ani przeciwko Japonji, anektującej Mandżurję, ani przeciwko Boliwji i Para-



*Nieżyjący już były cesarz Abisynji Lidz Jassu podobno otruty przez negusa Heile Selassie*

gwajowi, walcącym o Chaco — teraz występują z gwałtownym domaganiem się sankcyj przeciwko Włochom... — Zaciekli antykapitaliści śpieszą na pomoc wielkim trustom nafcianym anglo-amerykańskim, które otrzymały od negusa niedorzeczne koncesje. Najwięksi obrońcy wolności demokratycznej i przemądrzali budowniczy świata współczesnego występują przeciwko Rzymowi, kolebce naszej cywilizacji w obronie feodalnego kraju, prymitywnego i barbarzyńskiego...”.

*Anglja grymasi.*

Ostatecznie jednak Anglja zdecydowała się wycofać z nieprzejednanego wobec Włoch stanowiska. Oczywiście Baldwin trochę pogrymasiła na Francję za jej niedyskrecję w całej „dyplomatycznej robocie”, ale ostatecznie poszedł na kompromis.

Nie ulega wątpliwości, iż między obecnym gabinetem angielskim a rządem francuskim współpraca zacieśnia się bardzo wyraźnie. Rachuby na to, że konflikt abi-

syński będzie tym klinem, który rozbija solidarność francusko-angielską. Zawiodły na całej linii. Jeżeli Wielka Brytanja idzie dzisiaj na ustępstwa wobec Włoch, przypisać to należy oczywiście przedewszystkiem wpływom francuskim; ze względu na ogólne położenie europejskie Francja była przeciwna tworzeniu zbyt wyraźnego i sztywnego frontu antywłoskiego i — celu swego dopięła. Prasa całego świata sugeruje w tym związku, iż stało się to przedewszystkiem pod wpływem wieści z Niemiec. Zbrojenia niemieckie i stan umysłów niemieckich dają tyle do myślenia politykom angielskim i francuskim, iż w imię zabezpieczenia się przed tym wrogiem najważniejszym, gotowi pogodzić się z wrogiem daleko mniej groźnym, t. j. z Włochami, z którymi konflikt obecny ma charakter raczej przypadkowego niż zasadniczego. Zwrot pro-włoski w polityce angielskiej oznaczałby w takim razie poważny i zdecydowany krok w polityce europejskiej.

*Oczko huraganu rewolucji.*

Niby egzotyczny huragan przeszła niedawno nad Brazylią rewolucja. Jak to bywa zwykle w przyrodzie i tu udało się stwierdzić „oko cyklonu”. Jest nim tajemniczy osobnik.

Wiadomo mniej więcej kto to jest, choć znane jest tylko jego przybrane, nieprawdziwe nazwisko: Carlos Prestes. Niebezpieczny ten osobnik pojawiał się ostatnimi laty nie tylko w Brazylii, ale również w Urugwaju, Argentynie, Chile i Boliwji. Wszędzie tam, w chwilach jego pojawienia się, wybuchaly jakies rozruchy. Jedynie Peru unikał, nie miał do tego kraju jakoś przekonania.

Carlos Prestes uchodził przez pewien czas tylko za awanturnika, jakich wielu jest w gorących krajach południowej Ameryki, nie różniących się pod tym względem od ostawionego Meksyku. Szczaem jednak zaczęto o nim myśleć inaczej, poważniej. Otrzymało wiadomości, że Carlos Prestes odwiedzał i Sowiety. Jest wysoce prawdopodobnem, że otrzymywał tam jakieś zachęcające dobre rady a może i dyrektywy. Zrozumiał wtedy zapewne, że zamiast uprawiać „sztukę dla sztuki”, awantury dla awantur, warto pokusić się o coś więcej, co się może znakomicie opłacić... Dziś jest zupełnie jasnym i nie podlegającym wątpliwościom, że Carlos Prestes jest zdeklarowanym wywrotowcem-komunistą. W gorącym ogniu temperamentów południowo-amerykańskich pragnąłby upiec kartofle dla siebie i swych dalekich, ale daleko sięgających protektorów.



## Z PIŚMIENICTWA

*Dziesięciolecie zgonu Wł. St. Reymonta.*

W dniu 5 grudnia r. ub. minęło 10 lat od śmierci znakomitego pisarza, laureata Wł. St. Reymonta. Twórca epopei chłopskiej, wielki znawca wsi, który ukochał ziemię polską, w całej swej działalności piarskiej podkreślał umiłowanie wyższych celów. Reymont za młodu na drodze do swej wielkiej kariery pisarskiej, przechodził ciężkie koleje. Nie miał niekiedy nawet na chleb. Nieraz zgłodniały w zaniebanem ubraniu źle był widziany po redakcjach, nie miał warunków, w którychby mógł pracować spokojnie. Aż wreszcie talent ogromny przezwyciężył wszystkie zapory.

Reymont i w czasie doświadczeń życiowych i później w dniach triumfu podkreślał wyraźnie swe przywiązanie do wiary katolickiej i podziwiał potęgę duchową, zawartą w Kościele. Dnia 18 stycznia 1924 r. pisał Reymont do swego przyjaciela Pawła Cazin we Francji:

„Otrzymałem „La Revue-Bleue” i tę wspaniałą „Vie Catholique” (Życie Katolickie, miesięcznik). Tak, mówię otwarcie — jestem wierzącym katolikiem”.

Podczas ostatniej choroby w r. 1925 czytał wyłącznie dzieła, traktujące o życiu pozagrobowym i Ewangelji. Gdy w środę dnia 2 grudnia 1925 r. przybył w odwiedzinny ks. prof. Szczepański, chory Reymont skorzystał ze sposobności, by się wyświadczyć i następnego dnia przyjął Komunię św. Od czwartku zrana zaczęła się już agonja. Zgasił dnia 5 grudnia o 2,30 w nocy 1925 r.

„Chór wieków” — Kochanowski, Sęp-Szański, Karpiński, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, Lenartowicz, Wyspiański, Kasprzowicz i inni. Antologia poetycka w układzie W. Miłaszewskiej, J. Rembielińskiego i Stanisława Miłaszewskiego. Z przedmową J. E. Ks. Arcybiskupa Józefa Teodorowicza. Nakładem Księgarni Św. Wojciecha, Poznań MCMXXXVI. Str. XII i 447.

Nareszcie wspaniałe wydawnictwo katolickie! Przedewszystkiem — szata zewnętrzna: najwytworniejszy papier „Malta” z własnej fabryki wydawcy; gustowna okładka dobrego malarza Jodzewicza i niezajmujący miejsca, a pełen wytworności układ tekstu. Co zaś do tego, potrzeba było takiego „konesera” literackiego, jak Stanisław Miłaszewski i tak pełnego polotu publicysty, jak Jan Rembieliński, ażeby spośród oceanu wielkiej poezji polskiej wyłowić 160 najgenialniejszych czy najudatniejszych utworów religijnych. Inicytywę do tej pracy dała p. Wanda Miłaszewska. Najstosowniejszy podarek na Gwiazdkę dla rodzin prawdziwie katolickich!

A. FERON: „Liturgie Familiale”. Paris: Editions Mariage et Famille 18 × 12 p. VIII + 128.

Autor dziełka pragnie przyjść z pomocą rodzinom katolickim, uprzystępniając ogółowi katolików francuskich bogaty skarb modlitw, przepisanych przez Rytuał rzymski na poszczególne okoliczności codziennego życia. Skoro ruch liturgiczny, kwitający w całej pełni na Zachodzie, nauczył wiernych w pewnej mierze uczestnictwa czynnego w Ofierze Mszy św., może autor pójść dalej i sięgnąć po modlitwy Rytuału. Daje więc tłumaczenie francuskie tekstów używanych przy różnych benedykcjach kapłańskich np. domu, dziecka nowonarodzonego, formularze intronizacji

Najśw. Serca Jezusowego, ceremonjał chrztu św. itp. — przyczem nie poprzestaje na prostym tłumaczeniu modlitw, lecz zaopatrzuje teksty w krótki dogmatyczno-ascetyczny i historyczny komentarz. Na szczególniejsze podkreślenie zasługuje część traktująca o ceremonjach chrztu św., do których dołączył autor krótkie, lecz jasne i w życiu codziennym zupełnie wystarczające uwagi historyczne.

Treść książki stanowią rozdziały: La maison; Avant la naissance; Le Baptême; Les Relevailles; L'enfant; Prières diverses.

Wplecione tu i ówdzie modlitwy o charakterze rodzinnym mają służyć rodzinie gromadzącej się co wieczór na wspólne pacierze.

X. Féron w postaci omówionej książeczki daje modlitewnik liturgiczny rodzinom francuskim; posiadają i Niemcy swoje Laienritual; oby i katolicy polscy doczekali się podobnego modlitewnika rodzinnego, któryby w rodzinach naszych urabiał zmysł orjentacji katolickiej i uczył „sentire cum Ecclesia”.

R. R.

KS. DR. J. MŁYNARCZYK: *Walka o dusze ludzkie*. Rozważania i myśli z przykładami dla ludu polskiego. W chwili

obecnej, kiedy wśród gwałtownego tempa życia człowiek zmaterializowany często zapomina o prawdach podstawowych, lekceważy wartość swej duszy nieśmiertelnej i łaski nadprzyrodzonej, a materialistyczny światopogląd zdobywa sobie masy ludu, książka ta przypomni wszystkim cel i piękność życia. Wskaże mu cel życia — szczęście wieczne i jedyną drogę doń wiodącą, t. j. Kościół katolicki, któremu Chrystus pozostawił odpowiednie środki konieczne do zbawienia. Poza to, jako praca uświadamiająca, umocni wiernych w wierze przeciw działającym dziś licznym sektom i bezbożnikom. Liczne przykłady i ilustracje (22) czynią książkę tę interesującą. Str. 138, cena 45 gr — porto 25 gr.

MARJAN PILARSKI: *Prawda o księżkach*. Zasługi kapłana katolickiego w ciągu stuleci i w chwili obecnej — jego pożyteczna działalność, choć często nieuznawana, dla ludzkości. Pożyteczna książka dla wszystkich, bo dziś spółka żydowsko-masońsko-bezbożna krzyczy na wsze strony, że Kościół szerzy zacońfanie, obskurantyzm, ciemnotę. Zgromadzone w tej broszurce fakty najlepiej powiedzą, co sądzić o kłamliwych ogólnikach tych krzykliwych oszczerców. Str. 64, cena 20 gr — porto 15 gr.



Wł. St. Reymont

## Z TEATRU

„Cyd”, ten, którego oglądaliśmy w t. Narodowym, jest w równym stopniu dziełem Corneille’a jako jego pierwowórca, jak i Wyspiańskiego jako tłumacza i poprawiaacza koncepcji dramatycznej. Na tej odległej wiekami kollaboracji dzieło bynajmniej nie traci, przeciwnie zyskuje na rozwinięciu dramatycznym niektórych postaci.

Chodzi tu przede wszystkim o Infantkę, postać zupełnie martwą w sensie dramatycznym, tak dalece, że jeden z polskich tłumaczyw poprostu usunął ją z dzieła.

Inną drogą poszedł Wyspiański, który właśnie Infantkę postanowił ożywić, rozwinąć i związać z całą akcją sztuki.

Czy traduttore okazał się przytem traditore — zdrajcą, który zepsuł robotę pierwowórca? Stanowczo nie.

Dzieło Corneille’a niewątpliwie zyskało. Posłuchajmy co o tem mówi w swych zwierzeniach sam Wyspiański: „Starałem się o tyle zmienić Corneille’a, że w moim przekładzie Infantka rośnie duchem z aktu na akt. W pierwszych swoich wejściach jest to zarożumiała smarkatka, przejęta (dodajmy: fałszywie) swoją królewskością. Rodryga swata Szymenie tak, jak panna ze dworu swata dwoje czeladzi. Później Infantka zauważa, że serce jej bije dla Rodryga, dla... zwykłego jej poddanego, nie może więc czuć się już tak wzniosłą, staje się inną, niż była. — Gdy zaś uświadamia sobie, że ten jej „poddany” Rodryg, przez swe bohaterstwo stanął wyżej znacznie nad nią, to już ta Infantka jest czemś o całe światy oddalona od Infantki z pierwszego aktu. A tu znów, że pocichu kocha się w Rodrygu, czyni z niej ofiarę, gdy Rodryg Szymenę kocha i poślubia”...

Oto w koło jakich przeobrażeń, przeżyć, nadziei i cierpień wplótł Wyspiański Infantkę, z postaci w istocie infantylnej i limfatycznej, czyniąc pełnokrwistę zjawisko.

Z trzpiotki, pysznej, bawiącej się ludzkimi sercami w swaty, jak grą w karty,

przeobraża się w kobietę, w której odezwało się serce, które musi pragnąć, a w konsekwencji, wobec niepowodzenia, cierpieć. I dzięki temu Infantka uczy się rozumieć świat, ludzi i mieć dla nich szacunek, oparty na znajomości prawdziwych a nie pozornych walorów.

Drugą postacią, którą Wyspiański szczęśliwie przeobraził, jest don Diego, w gruncie rzeczy ramol i nudziarz. Z jego nudziarstwa uczynił rzecz zupełnie wyraźną, tak, by mógł to widz zauważyć.

Od tych kilku uwag na temat treści przejdźmy do omówienia przedstawienia, którem uraczył nas teatr Narodowy. Było niewątpliwie znakomite. Imponowało wystawą, utrzymaną w liniach syntetycznych, ale przecież wierną duchowi epoki.

Naczelne kreacje przypadły dwu znakomitym aktorom: J. Leszczyńskiemu i A. Zelwerowiczowi.

Kirszona „Przedziwny stop” wystawiony w Letnim, sztuka podobno nagrodzona spośród tysiąca innych, nie jest ani najprzedniejszym dziełem sowieckiej, ani tembardziej światowej dramaturgji. Razi ten „Przedziwny stop” słabą spoiłością elementów dramatycznych i złą obróbką tendencji. Bo przeciw tendencji ostatecznie trudno coś mieć. „Zbójcy” czy „intryga i miłość”, Schillera są niewątpliwie tendencyjni, ale za to robota, co za pasja dramatopisarska! Nic z tego nie widać u kirszona, jego stop jest za bardzo wyszligany w pseudoideologicznej mazi.

O co właściwie chodzi w tym „stopie”? O przeciwstawienie kolektywu — jednostce, ducha ofiary dla innych — egoizmowi.

Piękna rzecz, ale jak to jest zrobione? Nie bądźmy jednak za surowi. Jest w „Przedziwnym stopie” kilka dobrych pomysłów i sytuacji. Weźmy np. trawestację powiedzonka o strażaku. Autor w świetnym skrócie pokazał nam tworzenie się



Jerzy Leszczyński

plotki. Doskonała jest także scena oświadczenia przy gwiazdach, z czego wynika właśnie, zamiast małżeństwa, pomysł otrzymania „przedziwnego stropu”. Jest to bardzo zręczne.

Spośród wykonawców kapitalnie spisywał się zwłaszcza Konrat jako spirytus movens intrygi i przedstawiciel idei kolektywu, a również Woszczerowicz jako indywidualista Oleg.

„Cyd” na scenie Teatru Narodowego



Teatr Kameralny po wystawieniu „Ponad śnieg” znów zapisał na liście swych kapitalnych wznowień Ibsena „Budowniczego Solnesa”. I tu sztuka także oparta jest na kontraście wielkiej indywidualności z kolektywem. Jest to przedstawione w stylu oczywiście tamtej epoki, jako konflikt między dwoma pokoleniami starych i młodych. Ale proszę, jakie tu bogactwo perspektyw, ile tu ciekawego rysunku psychologicznego postaci. Ten budowniczy, który jest chory na lęk przed młodością i na agorafobię, który tę młodość zaprzęga, dzięki komedji miłości, do rydwanu swego powodzenia i wreszcie załamuje się pod wpływem właśnie choroby wysokości. — Cóż to za ciekawa postać, jakim tętni życiem. Świetnie ujawnił nurt tego wewnętrznego życia Solnesa K. Adwentowicz, sekundowała mu jako „pokusa młodości” Grywińska.

Całość przedstawienia doskonale zmontowana.

Podzielone są zdania co do sztuki O. Bey'a „Noe”. Jedni twierdzą, że jest interesująca, drudzy, że nudna. Trzeba tu obiektywnie stwierdzić, że tak samo jak „Przedziwny stop” ma kilka dobrych momentów, powieżeń i sytuacji, niema jednak dramatycznego zawężenia.

Lecz biorąc ją tak, jak jest, trzeba przyznać interesujący pomysł samego założenia sztuki, przedstawienie konfliktu wybitnej jednostki z jej otoczeniem nędznym i przeciętnym. „Noe” jest natchniony od Boga, tłum zaś jest małoduszny.

Wielkość Noego wyrasta nie z jego ambicji, jak Olega, nie z przekornego indywidualizmu i zazdrośnego sobkostwa, jak u Solnesa, ale z pokory i posłuszeństwa. Noe jest indywidualistą i samotnikiem nie z pogardy dla kolektywu, ale z konieczności wypełnienia powierzonego przez Boga zadania.

To natchnienie przez Boga pokazane jest zresztą w sposób bardzo prosty, a w tej prostocie przekonujący. I to stanowi właśnie oryginalny walor sztuki. Doskonałym Noem był Biesiadowski. Żonę jego z naturalnością ekspresji zagrała dawno nie widziana p. Trapszo. Gromadę dzieci Sawan, Kwiatkowski, Malicka i inni.  
J. Cz.

## Z MUZYKI

*Echa występów Hofmanna w Warszawie.*

Pierwsza połowa sezonu w Filharmonji warszawskiej dobiegła kresu. Patrząc na nią obecnie z perspektywy tych kilku miesięcy, dostrzegamy jasno, że na tle szeregu znanych i sławnych artystów, jacy się przez estradę przesunęli, króluje jedno nazwisko, pod którego znakiem pozostaje całe minione półrocze, — przy którym zbladła gwiazda najtęższych potentatów estradowych: nazwisko Józefa Hofmanna.

W tej chwili wskrzeszam w pamięci olbrzymie programy hofmannowskich recitali w Warszawie, przebiegam je myślą, zatrzymując się po raz tysięczny przy utworach, które pozostawiły najpotężniejsze, nieprzebrzmiałe wrażenie — i odczuwam w pełni bezsilność pióra sprawozdawcy



Pp. Broniszówna i Eichlerówna

wobec sztuki Hofmanna. Cóż można mówić o tem zjawisku, stojącym tak niezmiernie wysoko ponad zasięgiem krytyki? Chyba tylko jedno: że w genialnej grze wielkiego pianisty skupiły się w stopniu najwyższym i w niezamąconej wzajemnej harmonji wszystkie pierwiastki najdoskonalszego artysty. Słuchacza, rozmiłowanego w blasku wirtuozowskim, olśni Hofmann swą magją techniczną; ten, komu imponuje praca intelektu, silny kościec myślowy koncepcji artystycznej — odnajdzie te wartości w przemądrej, niezłomnie logicznej grze Hofmanna; temu wreszcie, kto szuka w sztuce odbłasku głębokich przeżyć duchowych, dostarczy niezapomnianych wrażeń choćby Fantazja C dur Schumanna, którą Hofmann grał z taką potęgą nieziemsko czystego natchnienia, że widziano na sali ludzi krytycznie zazwyczaj nastawionych, do entuzjazmu mało skłonnych — ze łzami wzruszenia w oczach.

Na jednym z recitali Hofmanna oblił mi się o uszy taki urywek rozmowy między

dwojgiem młodzieży muzycznej: „Poco się uczyć, kiedy i tak nigdy nie będziemy grać jak on?” Odpowiedź brzmiała: „Po- to, żeby przynajmniej móc go lepiej zrozumieć”. Zdanie to trafnie charakteryzuje



stosunek młodego pokolenia artystów do wielkich mistrzów, jak Hofmann: wielkość jego — i jemu dobowych — nie przytłacza; w słuchaczu-muzyku nad biernym poczuciem własnej niższości góruje pragnienie, aby się do szczytu, na którym mistrz przebywa, choć o włos przybliżyć, — a przedewszystkiem radość, że szczyt ten istnieje i że można podnosić wzrok ku niemu. Kult młodzieży muzycznej do Hofmanna jest zarazem pokorny — i radosny.

Bo też i sama gra Hofmanna wibruje nerwem radości. Jakże inne są jego zdrowe i pogodne (choć zawsze nawskroś wytworne) mazurki Chopina od tych samych mazurków, zamglonych w konturach, pełnych łkającej, trochę chorobliwej melancholji — w interpretacji np. pianistów sowieckich! Hofmannowska pogoda jest w stosunku do Chopina czemś nowem i niezwykłym na naszym gruncie: nasze starsze pokolenia, dziś jeszcze żyjące, bolesna tradycja wieku niewoli nauczyła kłaść cień tragedji narodowej na wszelkie przejawy sztuki: a Chopina uważać już wyłącznie i jedynie za wyraziela tej tragedji. Hofmann zdejmuje kir żaloby z muzyki Chopina, podchodzi do niej jak człowiek współczesny, który nie wlecząc za sobą mar przeszłości; i to właśnie może najsilniej go zbliżyć do młodego pokolenia.

Grę Hofmanna przepaja elixirem wiecznej młodości jej ogromna prostota i spokój wewnętrzny — hasła sztuki odtwórczej naszych czasów. Próżnoby szukać w sztuce Hofmanna pierwiastka walki owego zmagania się wewnętrznego, które zewnętrznie wypowiada się namiętnym, patetycznym gestem. Z gry Hofmanna bije nie męka twórcza, właściwa pokoleniu romantyków — lecz radość twórcza. Jego druzgocące, nieodwołalne zwycięstwo nad fortepianem dokonało się dawno, gdzieś poza oczami widza, a na estradzie zasiadł już nie „pogromca” — triumfator, ale po prostu „dobry gospodarz”; spokojnie, bez cienia afekcji, bez pompacyjnych „koronacyjnych” gestów, równie prosty w artyzmie swoim, jak w zachowaniu swem na estradzie, świadomy i przytomny, panujący nad sytuacją w każdym ułamku sekundy, buduje cegiełką po cegiełce, w pełnem napięciu uwagi, lecz bez najmniejszego widocznego trudu, monumentalne gmachy swoich koncepcyj odtwórczych, nie tracąc ani na chwilę z oczu ich ogólnej linii. W jego ujęciu całego utworu jest szeroki rozmach i polot antycznego rzeźbiarza — w cyzelowaniu szczegółów subtelny kunszt renesansowego złotnika.

„Intelektualista” — mówią o Hofmannie. Zwykle określenie to ma w stosunku do artyzmu lekki odcień ujemny, oznacza jakby brak żaru wewnętrznego. Lecz jeśli chodzi o Hofmanna, to właśnie ten intelektualizm, to okiełznanie porywu natchnienia przez genialną pracę umysłu, podnosi sztukę jego na wyżyny, opiera ją na tak niewzruszalnych fundamentach, że trudno wprost uwierzyć, iż trwa ona tylko w czasie, że przestanie istnieć z chwilą przebrzmienia ostatniego dźwięku. Ten właśnie intelektualizm daje grze Hofmanna cudowną jasność i przejrzystość, wytwarza w niej czystą, orzeźwiająca atmosferę, wolną od gorączki nerwów, — chłodną wprawdzie, ale tym dobroczynnym choć surowym, a pełnym majestatu chłodem najwyższych szczytów.

Tłum muzyczny, skupiony wkoło estra-

dy, śledzi z zapartym oddechem i chwyta chęciwie wszystkie drobne, uroczne tajemnice gry Hofmanna, wszystkie te maleńkie, wyrafinowane pomysły, czasem śmiałe aż do rewolucji, oryginalne prawie do ekscentryczności, od których roi się w jego sztuce pianistowskiej. Pod ręką Hofmanna fortepian dwoi się i troi, staje się jakimś fantastycznym instrumentem o niezliczonej ilości klawiatur i rejestrów, albo wprost całą orkiestrą, zmienną i migotliwą w bogactwie swych barw, jak orkiestra Ravela. Lecz te bajeczne efekty kolorystyki dźwiękowej nigdy nie wkraczają w granice pustego efekciarstwa; zawsze motywem ich jest istotna racja wewnętrzna; z wirtuozem współpracuje tu i dominuje nad nim — muzyk.

I dlatego, to, mówiąc o Hofmannie,



Józef Hofmann

najmniej uwagi poświęca się jego technice, która już przecież sama przez się jest fenomenalnym zjawiskiem, przerastającym, zdawałoby się, miarę ludzkich możliwości. Niezwykła jest wytrzymałość jego ręki, godna podziwu na równi ze sprężystością pamięci; pozwalają mu one bisować nieraz po półtorej godziny bez przerwy i to utworami niezmiernie forsownymi technicznie. Genjalne i wszechstronne jest wykszolenie tej ręki, jej władza nad instrumentem, jej zdolność magiczna do zmiany — rzecz można — swego ciężaru, do stawiania się z sekundy na sekundę to niematerialnie lekką, to pełną wagi, jak serce dzwonu, — wreszcie jej posłuszną wrażliwość na każde drgnienie myśli artysty. Hofmann nie potrzebuje układać sobie programów koncertowych, obliczonych na stopniowe rozgrywanie się; odrazu wychodzi na estradę „w formie”, w pełni środków wirtuozowskich; toteż mógł sobie pozwolić na rozpoczęcie recitalu Chopinowskiego Polonezem A-dur, tak mało pianistycznym, tak nawskroś orkiestralnym, — a grał go ręką wspaniałą od pierwszego akordu rozegraną, wydobytą z fortepianu, jak z cymbałów Jankiela, całą utajoną „kapelę janczarską”.

Analogja fortepianu Hofmanna z orkiestrą potęguje się jeszcze dzięki charakterystycznemu dłań zamiłowaniu do polifonii; stało się ono przysłowiowe w naszych kołach muzycznych. Przejawia się w niem ta sama żyłka wynalazcza, którą odznacza

się mistrz i na innym zgoła terenie: w dziedzinie fizyki. Hofmann z upodobaniem wydobywa z cienia i ukazuje słuchaczowi przeróżne załączki i szkice tematów, nieraz przez samego autora niedostrzeżone, podkreśla urok i ważkość głosów podrzędnych, nie pozwoli pozostać w ukryciu żadnej myśli muzycznej, którą za piękną i wartościową uważa. A przytem nigdy nie wpada w niebezpieczeństwo chaotycznej plątaniny, którą tak łatwo mógłby przy takim ujęciu wytworzyć inny pianista; pojedyncze „usamodzielnione” głosy płyną obok siebie w zgodzie i harmonji, każdy zna swoją rolę i swoje miejsce w „chorze”, a razem splatają się w bogatą, lecz zawsze przejrzystą koronkę. (Za przykład typowy niechaj służy mistrzowska Etiuda pośmiertna Des-dur Chopina). Czasem te polifoniczne wynalazki nabierają odcienia humoru, jak ów sławny z zeszczerzonego recitalu „zegar” w „Berceuse” Chopina, — do wciwna niespodzianka, która wywołała ożywioną polemikę w warszawskiej prasie muzycznej. Na temat całej tej polifonicznej roboty Hofmanna można dyskutować — niepodobna jej jednak nie podziwiać.

Niezawodnego sojusznika ma Hofmann-polifonista... w swej lewej ręce. Przecież ta ręka żyje własnym życiem, od prawej absolutnie niezależnym, a jakże ciekawem! Umie być czarującym akompanjatorem (jej to przedewszystkiem zawdzięczają finezję i wdziek niezrównane walce hofmannowskie!) Umie pełnić walcerowo funkcję dyrygenta utrzymując w korbach lotne obłoczki perlistego pyłu ozdobników wirtuozowskich. Umie prowadzić z prawą ręką dialogi pełne głębokiej ekspresji i modelować plastycznie linję kantyleny. Umie wybijać się na powierzchni masy dźwiękowej w warczącym pasją crescendo biegników (Warjacje Brahmsa na temat Haendla.)

Cały ten kunszt rozwija się na gruncie żelaznego rytmu. Rytm ten zdrowy, krzepki, nieugięty — a jednak daleki od suchego, bezdusznego rytmu metronomu — wytwarza w grze Hofmanna ów doskonały, tak mu właściwy, ład wewnętrzny. Ścisłość matematyczna włada w dynamice i we frazowaniu, reguluje każde crescendo, rozmierza każde rubato. Tę zaś hofmannowskich obrazów dźwiękowych, tę arcykunsztownie podmalowane i jeszcze jedno źródło świetnych efektów — stanowi mistrzowska technika pedalizacji, imponująca automatyczną niemal reakcją na każdą zmianę harmonji, błyskawiczną sprawnością ruchów i rozległą, bogato zróżniczkowaną ich skalą.

Stuchając na sali koncertu Hofmanna, nie dostrzegamy narazie poszczególnych elementów jego artyzmu i nie wdajemy się w ich analizę; widzimy tylko ogólny kształt preczystego, szlachetnego piękna jego gry. Refleksje o analitycznym zakroju przychodzą dopiero później, nie psując jednak bezpośredniego wrażenia, które pozostaje równie świeże i barwne, jak w pierwszej chwili, jeszcze silniej utrwalone przez zrozumienie. I dlatego dziś, po dwóch miesiącach, możemy spokojnie pisać i myśleć o występach Hofmanna tak, jakby odbyły się one wczoraj, z pełnem poczuciem nieprzemijającej aktualności tych pierwiastków, jakie najgłębiej wyraża i jakie wniosła w życie muzyczne Warszawy czarodziejska sztuka Józefa Hofmanna.

Jadwiga Szamotulska.

# Dział Kobiety

## DLA DUSZY.

*Ze wszech rzeczy, które czynisz, niech ci się nie wielkiem nie zdaje.*

*I w oczach twoich, niech nic nie będzie wielkiem, nie szacownem i podziwienia godnem, nie chwalebne, nie wzniosłem, nie pożądanem, jeno to, co wiecznem jest.*

*Nadewszystko upodobaj sobie przedwieczną Prawdę, a pogardzaj zawsze największą marnością twoją.*

*Niczego tak się nie lękaj, niczego tak się nie strzeż,*

*jak własnych wad i grzechów, które cię więcej zasmucać mają, jak wszelkie doczesne szkody.*

*Niektórzy nieszczerze się zachowują przede mną; lecz wiedzeni jakąś ciekawością i zuchwalstwem, chcą znać tajemnice moje i pojąć wzniosłe rzeczy Boże, a zaniedbują siebie i zbawienie swoje.*

*Ci przez swoją ciekawość i pychę, odwróciwszy mnie od siebie, wpadają w wielkie pokusy i grzechy.*

Tomasz à Kempis.

O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

## 200 OBIADÓW

Pamiętam sprzed lat — jedno wspomnienie.

Z Warszawy, przenieśliśmy się na stałe zamieszkać do Krakowa, a było to w ostatnich latach ubiegłego stulecia, kiedy tak zwana „autonomja” Galicji, była ustrojem budzącym w nas zazdrość, w nas, którzy w gmachach publicznych, jak np. poczta, czytaliśmy krótkie, ale stanowcze: „Nie wolno mówić po polsku”.

Jednak, mimo tej wymarzonej autonomji, prędko się zorjentowałam, że dobrze znać język niemiecki byłoby pożyteczne i wślad za tą uwagą, poprosiłam staro profesora niemieckiego języka — aby mi służył swą pomocą.

Oczywiście kwestji do rozmowy nigdy nie zbrakło, wśród poruszanych różnorodnych tematów — zjawia się i polityka.

— A wie pani, dlaczego nie macie bytu politycznego, bo wasze kobiety — nie umieją gotować.

I posypały się argumenty, które niezupełnie mnie przekonywały, jednak cośnecoś, było w nich prawdy.

I..., wyznać należy, że dotąd — nie umiemy gotować, choć sprawa racjonalnego odżywiania się jest ważną, poważną, stanowiącą o tężyznie organizmu, o jego odporności na choroby, o jego psychice, boć nigdy nie zestarzało się to mądre: w zdrowem ciele, zdrowa dusza. Dotąd większość kobiet, biorąc w tej liczbie — wieś — niema dostatecznej świadomości o racjonalnem odżywianiu się, o ważności zmian pokarmu, o pewnej diecie, której każdy niemal organizm potrzebuje.

Często też przychodzi mi na myśl, mój nauczyciel Niemiec, kiedy śledzę pracę wielce szanownej p. Elżbiety Kiewnarskiej, która z taką rozumną wytrwałością pragnie nas uczyć tego, co naogół jeszcze jest u nas bardzo zaniedbane.

Ileż to już rad i przepisów miałyśmy od jedynej w tym zakresie, doskonałej i — co najważniejsze — zajmującej pisarki. Ani feljetonów, zamieszczanych w „Kurjerze Warszawskim” (p. Elżbiety), ani luźnych wydawnictw, wysoce pożytecznych, takich np. jak „Potrawy z kartofli”, „Potrawy z jarzyn”, „Sałaty i sałatki”, „Wina owocowe” i setki innych — nie opuszcza się, nie omija. Wszystko się czyta i... stosuje.

Toteż z radością witamy nową pracę p. Elżbiety Kiewnarskiej (pani Elżbiety), której tytuł: „200 obiadów”, kompletne menu z przepisami poszczególnych dań, przekąsek i legumin smacznych, zdrowych i ła-

twych do wykonania, 65 ilustracyj wielobarwnych, według książki F. Nietlispach „200 diners”. Poznań. Wydawnictwo polskie B. Wegnera”.

A słowo wstępne dotrzymuje wszystkiego — co w niem czytelnikowi obiecuje. Więc przedewszystkiem, każda dyspozycja obiadu — to logiczne zestawienie pokarmów zdrowych i organizmowi potrzebnych. Każda strona druku, to dyspozycja obiadu normalnego, wykwinowego, skromnego lub jarskiego. Każdy towarzyszący jej przepis, krótki a zrozumiały i niezawodny. Pory roku, a z nimi produkty, mięsa, drobiu, jarzyn czy owoców — zachowane. Podane piękne ilustracje wyrabiają ochotę naśladownictwa. W estetycznej formie nakrycia i podania potraw, co jest niezmiernie ważną sprawą w tym zakresie. Bo ładnie podana potrawa, dwa razy lepiej smakuje, a kosztu ten zabieg nie przysparza żadnego, prócz — staranności gospodyni. Słowem „200 obiadów”, to książka, którą każda dbała o dom gospodyni nabyć powinna.

Wprawdzie, pisząc z zamiłowaniem o tej części składowej, jaką jest — odżywianie się — wyglądam na smakoszkę i to łąką, a może nawet — bezmyślną — bo, bo... tyle ludzi niema dziś nie tylko dobrej, ale żadnej strawy, bo tyle matek się biedzi, czem głodne dzieci pożywić, bo idzie zima — więc groza biedy z nią zwiększona...

Prawda. Ale ci, których możliwości materialne pozwalają jeszcze na prowadzenie, choćby z dużą redukcją chcenia — jednak normalnego gospodarstwa — tem więcej dbać powinni, aby każdy grosz — na jedzenie był dobrze wydany, to znaczy, aby były potrawy nie tylko smaczne, ale równorzędnie — pożywne. Aby organizmy się krzepiły, aby sił fizycznych przybywało — aby nie było owego „co mi tam!”, „byle co, aby nie był głodnym”, ale aby było obmyślane, rozważone i obrachowane każde posunięcie w tym kierunku, bo właśnie dziś więcej, aniżeli kiedykolwiek — gospodynie, panie domu, winny pamiętać, że w ich ręku jest normalny bieg zdrowia dzieci i całego składu domów rodzinnych.

Książka pani Kiewnarskiej — ułatwi to każdej z nas, więc nabyć ją należy z wdzięcznością dla Autorki, że o nas myśli, tem więcej, że wykwinne wydanie, dość powiedziec W. Wegnera w Poznaniu, woła i zachęca do jej posiadania i codziennego z nią obcowania.

L. Kotarbińska.

## TYLKO O TROCHĘ PAMIĘCI...

Kiedy przed laty, była jakaś ważna dla Francji wystawa, na którą trzeba było zgromadzić fundusze, choćby najdrobniejszymi datkami, byle od całego społeczeństwa płynąciami, wtedy nie odbierało się listu z Francji, na którym nie byłoby kilkocentimowej znaczki, pamiętam, że nawet był on w nader estetycznej formie i pięknym wykonaniu.

U nas bywały sprzedawane znaczki z napisem: „Września” 1926 r. „Na ubogą dziatwę szkolną” Dziesięciogroszowe znaczki, „Na zakup złota i srebra”, „Polski Związek Przeciwwróżliczy” wydał znaczki na zdobycie groszy. Wreszcie, Marynarka Wojenna wydała, wykonane w Drukarni Polskiej w Poznaniu, prześlizczone znaczki z szeregiem wizerunków naszych pierwszych statków: „Dar Pomorza”, kanonierka, „Komendant Piłsudski”, kanonierka, „Generał Haller”, statek pasażersko-towarowy, „Kościszko”, kontrtorpedowiec „Burza”, „Wicher”. Łódź podwodna „Ryś” i wiele pomocniczych statków jak „Sokół”, „Wanda”, „Krakus”, a potem „Līga Morska i Kolonjalna” — olbrzymi dała nakład znaczków, w cenie 1 zł, 50 gr, 20 gr, i 10 gr i *nawet 5 gr*, rysowanych starannie, wydrukowanych doskonale i mimowoli nasuwa się pytanie — czy one już sprzedane, ile z nich osiągnięto, gdzie są, jeżeli są jeszcze, czemu niema następnego nakładu i t. d. bez końca.

Ile i czy osiągnęły ze swych starań inne Stowarzyszenia, nie śledziłam. W tej chwili najżywiej obchodzi mnie sprawa Ligi M. i K. i spełnienie celów, do których dążyła, podejmując dość kosztowne wydawnictwo znaczków.

Otóż, musimy zrozumieć, że wydawnictwo znaczków ma zawsze dwa zadania.

Jedno — wymieniać znaczki, co prędzej, na bieżącą monetę.

Drugie — zużyć je na propagandę, to znaczy: nie wypuścić z rąk listu, i nie rzucić do skrzynki pocztowej nawet kartki korespondencyjnej, bez znaczki L. M. K.

Znaczek jest barwny, wesoły, prawie uśmiechnięty. Listu nietylko nie zeszpeci, ale go ozdobi. Jest wymowny, bo świadczy o tym, kto go nalepił — jak najkorzystniej, temu, który nań patrzy, zanim list otworzył, mówi, że za te pięć, czy dziesięć groszy — zaciągnie się do szeregów rycerzy, walczących o dobro tak

wielkiej sprawy — jak służba czynna dla naszego Wybrzeża i zniewoli do nabycia tego niemego świadka — dopóki jest w szufladzie, a wymownego, gdy się go w świat puszcza: *Znaczki L. M. K. na powiększenie jej zasobów materialnych* — jak w tej chwili, na jeden z najważniejszych celów: *Funduszu Obrony Morza*, do-  
tąd jednak rzadko obecny na listach naszych.

Jeżeli, bo nawet przypuszczać tego nie chcemy twierdząco — więc jeżeli rozprzedaż znaczków nie idzie w tym tempie, w jakim iść powinna, to są dwie tego przyczyny.

Jedna, że znaczki nawet kupując, kładziemy do szuflady zamiast nalepiać je na naszej korespondencji, i nie pełnimy tem samem *propagandy*, co jest związane z celem wydawnictwa; druga, że *za mało interesują się tą sprawą kobiety*.

Dopóki kobiety polskie nie obejmą całą gorącością swych serc spraw związanych z naszym Morzem, dopóki nie zrozumieją same, a co zatem idzie, nie wpoją w swe rodzinne koła, w swe otoczenie, że sprawa Morza, sprawa floty, sprawa Marynarki Wojennej, to integralne części naszego istnienia, to rozwój naszego przemysłu i handlu, to przyszłe tereny pracy, to warsztaty, których potrzebę znaczy każdy dzień, ale których tworzenie czeka na zasiłki materialne, dopóki nie ożywi się w pełni to przyspieszone tętno działania, jakiego wymaga bieżąca chwila. Nikt nie odmówi żadnej z nas, pięciu czy dziesięciu groszy za mareczkę, ale żeby się one wydatnie zmieniały na gotówkę, trzeba nieustannej o tem pamięci.

Czyż nas nie stać na tak drobną ofiarę jak *pamięć*, kobiety, kiedy ona ma służyć *wielkiej sprawie*.

Oddział Kobiet L. M. K., a w nim „Sekcja Funduszu Obrony Morza” wzywa wszystkie dobre Polki, poważnie myślące Obywatelki do pomocy w sprawie zbiórki groszowej na potrzeby naszej Marynarki.

Znaczki do przyklepania ich na listach — są do nabycia w siedzibie L. M. K., Widok 10, parter i u każdej członkini Oddziału Kobiet L. M. K.

Na zebranie, przeznaczone na omówienie propagandy mareczek, niebawem zaprosimy panie, a że stawią się licznie, o tem nie wątpi

I. Kotarbińska

przewodn. Oddziału Kobiet L. M. K.

## NIGDY ZA PÓŹNO

Nie jest wstydem czegoś nie umieć. Ale, natomiast, jest wstydem nie chcieć się nauczyć, czego się nie umie.

Przyszło mi to na myśl właśnie dlatego, że oto przed kilku dniami, rozmawiając z jedną z gospodyń ze wsi, słyszę:

Co mi tam już po nauce. Za późno. nie nauczyli mnie zamrodu, to już i tak będzie do śmierci...

Otóż niema w tem żadnej słuszności. Nie nauczyli, bo uczyć nie mogli. Bo za nauczanie szło się do kozy. Ale, nigdy za

## CHORA WĄTROBA zatrzuwa organizm

Zaburzenia w funkcjonowaniu wątroby i wydzielaniu żółci powodują swego rodzaju zatrucie organizmu, a na tem tle szereg najrozmaitszych chorób.

Ziółta Magistra Wojskiego „Biliosa” zawierające znane rośliny egzotyczne Combretum i Boldo, pobudzają wątrobę do właściwej pracy oraz prawidłowego wydzielania żółci i powodują naturalne wypróżnienia. Stosują się przy cierpieniach wątroby i woreczka żółciowego (kamicy żółciowej).

Ziółta ze znakiem ochronnym „Biliosa” do nabycia w aptekach i drogerjach (składach aptecznych).

Wytwórnia: Magister E. Wojski — Warszawa, Złota 14, m. 1.

późno, od tego po szkołach są kursy wieczorne dla starszych ludzi, od tego są pogadanki, żeby jaknajwięcej dogonić mogli ci, którym nie otworzono, jak ich dzieciom, szkół naocież.

Wszystkie Kółka Rolnicze, Centralnego Towarzystwa Rolniczego, wszystkie zjazdy Ziemianek nawołują do nauki, do dopełniania wiadomości rolniczych, gospodarczych. Wszystkie zachęcają do uczęszczania na pogadanki, do brania udziału w zjazdach, do robienia wycieczek, do zwiedzania wystaw, z okazami dorobku poszczególnych województw, do czego my też zawsze gorąco nawołujemy. Czy to, jedna wycieczka, jedna wystawa tak oświeci umysł, tyle da i do myślenia i do mówienia, że wszelki trud i koszt opłaci sownie.

Przecież na świecie co dnia wszystko idzie naprzód.

Każda trawka mała dziś — jutro już jest większa i inna. Ludzie pracują, wysilają mózgi nad tem, żeby ulepszyć gospodarstwa, żeby ziemia lepiej rodziła, krowa dała więcej mleka, świnia słoniny i żeby człowiek miał z tego jaknajwięcej korzyści, aby mógł pożytecznie pracować, dla siebie i kraju.

A wśród nas, mająż być tacy, którzy na to wszystko patrzą obojętnie?

Choćbyś była najstarsza, czy najstarszy, żaden wstyd pytać się, dowiadywać, uczyć się tego, czego nie umiesz.

Polsee trzeba ludzi świątlich.

Wtedy będzie dobrze, kiedy każdy Polak będzie znał swój kraj, wiedział jakie w nim są bogactwa, umiał je wybierać i umiał z nich należycie korzystać. Kiedy będzie wiedział, dlaczego i za co Polskę miłować należy, znał jej przeszłość i wiedział o tych,

Składasz ofiarę kościołowi w postaci świec — złóż najpraktyczniejsze i najwięcej kościołowi potrzebne:

PACZKĘ SAKRAMENTEK  
woskowych i liturgicznych wyro-  
bu polskiej i katolickiej FIRMY

„**POŁO**”

co ją zdobywali, co zwyciężali, nawet i o tych, co ją gubili, żeby się błędów, popełnionych dawniej, dziś — wystrzegać.

Państwo nasze olbrzymie. Setki tysięcy kilometrów kwadratowych obejmuje. Setek tysięcy ludzi świątlich potrzeba, aby ten obszar utrzymać, aby nietylko nie stracić z tego, co mamy, ale pamiętać, że są nasi bracia Polacy-katolicy, których los od nas odciął i że musimy kiedyś z nimi się złączyć, przez wysiłek pracy, przez znajomość drogi, którą mamy iść, przez ukochanie tego, co nasze.

Uczmy się wszyscy! Dopełniajmy wiadomości, których nam brak, pytajmy, słuchajmy.

Na to, nigdy za późno.

Mrówka.

## ZE „ZWIĄZKU PAŃ DOMU”

W ub. miesiącu odbyło się zebranie miesięczne członkiń Związku Pań Domu, Oddziału Warszawskiego z referatem p. dr. Kączowskiej na temat „Badania psychotechniczne”.

Następnie p. Iwanka Prażmowska wygłosiła pogadankę o konieczności stosowania codziennej 10-minutowej gimnastyki. Pogadanka była demonstrowana pokazem najracjonalniejszych ćwiczeń gimnastycznych.

Zarząd Główny podał do wiadomości, że projektuje się urządzenie szeregu wieczorów dyskusyjnych dla powstającego wydziału młodych.

Zarząd Oddziału zakomunikował, że najbliższy pokaz kulinarny zaznajomi panie z przyrządzaniem dań bridżowych.

Wydział Klubowy oznajmił, że oprócz czwartków klubowych urządzone będą co drugi wtorek wieczory taneczne.

Wydział Odczytowy organizował odczyt p. Surynowej na temat „Wczoraj, dziś i jutro feminizmu”. Po odczycie była dyskusja.

Wydział Pomocnic Domowych zawiadomił, że 14 stycznia 1936 roku Inspektorat Szkół Miejskich na skutek starań Z. P. D. uruchamia 3-letnią bezpłatną Szkołę dokształcającą dla pomocnic domowych. Wykłady będą odbywały się dwa razy w tygodniu we wtorki i piątki w godz. od 17—21-szej w gmachu I Miejskiej Szkoły Rękodzielniczej (Kazimierzowska 60). Zapisy przyjmuje Sekretariat Z. P. D. Nowy Świat 9. Uczennice będą korzystały z ulg tramwajowych i kolejowych.

Wydział Pracy na przedmieściach urządził wystawę na terenie gazowni ul. Dworska 25, gdzie w każdy czwartek odbywają się pogadanki i pokazy z całokształtu prac domowych i odżywiania.

## NASZE ZADANIE.

Jedną z najważniejszych ról w odbudowie krajowej gospodarki odgrywa u nas powszechna oszczędność, gromadząca w instytucjach oszczędnościowych, a szczególnie w P. K. O., potężne kapitały, które mogły być obracane w drodze kredytów na różne dzieła.

Kapitały społeczne, powstające z nieustannego oszczędzania milionów obywateli, umożliwiły pracę i zarobek olbrzymim rzeszom, zajętym przy budowie, a więc przyczyniły się do zmniejszenia bezrobocia i do powiększenia dobrobytu mas.

Pozatem krajowi przybyły nowe placówki gospodarcze: teraz już sami budujemy samoloty, samochody i produkujemy broń; już nie musimy kupować zagranicą różnych maszyn i aparatów, których produkcja w kraju powstała; już nie płacimy zagranicy za przewóz naszych emigrantów, mamy bowiem własne nowoczesne statki; już Gdynia stała się największym portem Bałtyku; już nie potrzebujemy obcej pomocy w przemyśle chemicznym; już zaczynamy wszystko produkować lepiej i taniej, a więc i walczyć skutecznie z innymi narodami na rynkach zagranicznych. Niesposób wyliczyć tego wszystkiego, co świadczy o ogromie naszej pracy, o przeczornem gospodarowaniu zasobami, o rozumnym lokowaniu naszych oszczędności.

Ale oszczędzanie przydało się także każdemu poszczególnemu człowiekowi. Kto wytrwale oszczędzał — ten posiada dziś rezerwy, jakby żelazne porcje żołnierskie i dlatego mocniejszy czuje się w walce o byt, a także tem pożyteczniejszy był dla społeczności i państwa. Te dwa miliony obywateli, którzy posiadają w P. K. O. około 1 miljarda oszczędności — walnie przysłużyły się rozbudowie i ogólnemu postępowi.

Kto niedość oszczędzał, ten dziś uświadomić powinien sobie, że z każdego — nawet najmniejszych dochodów — pewna częśćka należy się książeczce oszczędnościowej P. K. O. Zawsze jest czas na opamiętanie się i rozpoczęcie rozumnego życia.

Kto rozumny i przeczorny, a jednocześnie dobry obywatel — ten będzie chciał, aby za rok los jego i stan gospodarczy kraju były lepsze niż dziś. Będzie więc oszczędzał jaknajwięcej, tak, jak każdy Amerykanin, Duńczyk lub Francuz.

Kto nie dąży do postępu — ten cofa się. Kto broni się biernie — ginie.

## OSTRZEŻENIE!

### SŁÓW KILKA GODNYCH UWAGI.

Zapewne szerokim rzeszom naszych czytelników są znane doskonałe nici do szycia i cerowania p. n. „TRZY LILJE”, produkowane przez Krajowy Przemysł Niciany w Warszawie.

Firma ta, jako jedyna chrześcijańska-katolicka placówka w branży nicianej, napotyka przy rozpowszechnianiu swych wyrobów na duże trudności, gdyż konkurencja firmy „TRZY LILJE” składa się albo z wielkich koncernów zagranicznych, albo z sąsobnych firm żydowskich.

Ponieważ wyroby „TRZY LILJE” jakością nie ustępują a nawet przewyższają wyroby zagraniczne, przeto konkurencja, nie nie mogąc w tym kierunku zrobić, stara się przez rozpowszechnianie fałszywych wiadomości o zamknięciu fabryki itp. utrudnić przedstawienie się wyrobów „TRZY LILJE” do rąk konsumentek.

Wobec powyższego podajemy do wiadomości, że firma „TRZY LILJE” nietylko nie ogranicza produkcji, lecz przeciwnie, powiększa ją, wypuszczając do sprzedaży coraz więcej artykułów jak nici do szycia na szpulkach w 150 kolorach i wszystkich grubościach, bawełniczki i wełny do cerowania i fastrygowania oraz mocny i połyskliwy jedwab do szycia na rolkach (namiastka).

Niechaj każda Polka, której rozwój przemysłu rodzimego nie jest obojętny, żąda wszędzie i stanowczo wyrobów nicianych z marką „TRZY LILJE” i niechaj na znak ten baczną zwraca uwagę, nie wierząc kłamliwym pogłoskom.

## PIĘKNE HAFTY OPARTE NA MOTYWACH LUDOWYCH

W czterech pokojach, nie było ani skrawka miejsca wolnego — bo wszystkie stoły założone, wszystkie ściany zawieszono były przepięknymi haftami, niezrównanej pracownicy p. Stefkowej, która, łaskawie, w objętym dziale robót w „Rodzinie Polskiej” daje nam dowody swych upodobań — pisząc o umiłowanych przez nią motywach ludowych, stosowanych w robotach ręcznych, a polecając ją zawsze do użytkowania naszym Szanownym Czytelnikom.

Nic też dziwnego, że wystawa w Jej własnym mieszkaniu, ze smakiem znawczynie urządzona, która miała trwać trzy, cztery dni, trwała cztery tygodnie, gromadząc setki widzów, z podziwem oglądających arcydzieła hafciarskie z motywami całej Polski, czerpanymi przez samą p. Stefkową w Jej licznych podróżach po kraju.

Na wystawie były motywy ludowe, reprezentujące 32 zasięgi haftów regionalnych. Hafty białe i barwne, a wszystkie bogate, różnolite, jak różne stroje ziem: krakowskiej, pomorskiej, sandomierskiej, łowickiej, czy kresów wschodnich, kurpiowskie, w które były poubierane artystyczne lalki także z różnych okolic Polski, tem piękniejsze, że wykonane przez rzeźbiarkę p. Wasiewiczównę.

Skrzętnie zbierany dorobek pracy p. Stefkowej ujęty jest w wydawnictwie Stow. „Rodziny Wojskowej” p. t. „Wzory haftów ludowych”.

Piękną tę książeczkę winna mieć każda miłośniczka robót ręcznych, tem więcej, że najczęściej posługują się nasze panie motywami obcymi, omijając skarby, jakie mieszczą w sobie nasze własne motywy ludowe.

Właśnie zupełna ich odmienność od wzorów francuskich, niemieckich czy angielskich stanowi ich największy wdzięk, który jest godzien uznania najbardziej wytwornego gustu.

Miejmy nadzieję, że moda *plótna*, która tak doskonale przyjęła się w naszym kraju, nie minie. I że właśnie płótno, którego



już mamy i różne odcienie koloru i różne gatunki — doskonale zharmonizuje się z haftami o motywach ludowych naszych, tworząc swą odrębnością prawdziwie *polskie stroje*.

Zasługę nie małą będzie w tem miała nasza Szanowna Współpracowniczka, p. Stefkowa, której roboty nie tylko wzbudziły już uznanie i nawet podziw, ale nade wszystko, liczne naśladownictwo, jakie niejednokrotnie spotykaliśmy w ubiorze kobiet i dzieci w prześlicznie haftowanych sukienkach.

Praca p. Stefkowej daje Jej pełne zadowolenie, wnosi estetyczną ozdobę naszych szat i szerzy zamiłowanie swojskości, pokazując jej piękne strony, które tak łatwo stosować możemy do codziennego użytku. Niechże zamierzenia Jej rozwijają się jak najpomyślniej, tego życzymy i pragniemy.

L. K.

## POŻYTECZNA PLACÓWKA

Młoda gospodyni domu miewa niejednokrotnie duże przykrości w zaprowadzeniu gospodarstwa, w którym możnaby połączyć wzorowe warunki ze skromnym budżetem.

Nieznajomość źródeł zakupu, rozbieżność cen na rynku kupieckim, oraz lekceważące traktowanie młodej gospodyni w sklepach, może zniechęcić i udaremnić najlepsze plany kobiety, budującej swe nowe gniazdko. — Doskonale zrozumiano i odczuto te kłopoty młodej lub niedoświadczonej kobiety zagranicą. — We Francji i w Niemczech istnieją olbrzymie instytucje, gdzie można przejrzeć najnowsze wynalazki, ułatwiające prowadzenie wzorowego go-

spodarstwa domowego, od najprymitywniejszych drobiazgów, aż do ostatniego wyrazu techniki gospodarczej.

W Berlinie istnieje taka instytucja, coś w rodzaju poradni gospodarczej pod nazwą „Heiband”, gdzie w ciągu roku przewinie się przeszło 40.000 osób odwiedzających i nabywających wiadomości, gdzie w mieście dostać można potrzebny nam towar, wyborowej jakości, a niskiej cenie.

Personel z całą usłużnością informuje o źródłach zakupu, dobiorze odpowiedniego ubrania, umeblowania, udziela rad praktycznych w dziedzinie wszelkich potrzeb i bolączek gospodarczych.

Na wzór zagranicy powstała w Warszawie przy ul. Świętokrzyskiej 17 m. 3 „Ogólna Poradnia Gospodarcza”, gdzie możemy zobaczyć różnego rodzaju urządzenia elektryczne i gazowe tak niezbędne w gospodarstwie domowym. Widzimy tam w gablotkach reklamowych próbki artykułów spożywczych, naczyń kuchenne, piękne szkło i kryształy, porcelanę, platerę i żarówki, przeróżne drobiazgi do utrzymania mieszkania w czystości i estetyce. Bardzo starannie zebrano modele haftów ludowych, artystycznych i przybory do nich, jak włóczkę, bawełnę i nici, wzory i wykroje, biżuterję, modele dodatków do ubrań kobiecych i dziecięcych, słowem wszystko, czego potrzeba kobiecie pragnącej prowadzić dom swój na najwyższym poziomie estetyki i wygody. Niczego tam kupić nie można, gdyż jest to tylko pokaz dla reklamy i zaznajomienia się publiczności z wszelkimi nowościami gospodarskimi.





Nietylko gospodarstwo jest tam uwzględnione, lecz również strona zdrowotna i ubezpieczeniowa życia ludzkiego.

Placówkę tę, doskonałą w swem założeniu i prowadzeniu, zorganizowała spółka wydawnicza „Bluszcz”. Oficjalny tytuł brzmi: „Ogólna Poradnia Gospodarcza”, wstęp bezpłatny, otwarta od godz. 9-tej do 18-tej.

Radzimy więc wszystkim kobietom, pragnącym ulepszyć swe gospodarstwo, czy też zasięgnąć jakiejś rady, ażeby jaknajspieszniej zwiadyły Poradnię i nawiązały z nią stały kontakt, który przyniesie im może nieoczekiwane korzyści.

Marja Stefkowa.

## CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Każda żona urzędnika wiedzieć powinna, że w związku z wprowadzonymi przez ostatnie dekryty obciążeniami pracowników państwowych, rząd zmierza do wyrównania tych obciążeń w drodze ulg i obniżek kosztów utrzymania.

Ostatnio wydano zarządzenie w sprawie rozłożenia na dalsze dziesięć rat pozostałych jeszcze do spłacenia rat pożyczki inwestycyjnej.

Obecnie minister skarbu wydał okólnik, w którym zarządza aż do odwołania całkowite wstrzymanie potrącenia rat zaliczek na uposażenia, przyznanych do dnia 12 b. m. funkcjonariuszom państwowym i zawodowym wojskowym, których wynagrodzenie podlega specjalnemu podatkowi od wynagrodzeń, wypłacalnym z funduszy publicznych. Zarządzenie to wprowadza się w życie przy wpłacie uposażenia za grudzień r. b.

Wszyscy wiedzieć powinniśmy, bo wszyscy płacimy podatki, że pracuje komisja rewizyjna m. st. Warszawy nad sprawdzeniem rachunków z ubiegłych dwu lat w gospodarce miejskiej.

Nazwiska takie jak: p. Artura Śliwińskiego, pp. Twardo, Broszkowskiej, Walickiego, Nowickiego i Szelałgowskiej, dają wszelką gwarancję dokładnej pracy, której wyniki będą ogłoszone drukiem.

Wiedzieć pożytecznie, jeśli, na szczęście, nie dla siebie, to choćby dla objaśnienia innym, że zawiązało się Koło Pomocy Społecznej dla publicznych szkół powszechnych przy radzie szkolnej miasta stoł. Warszawy, ze szczególną uwagą na dzieci umysłowo upośledzone, moralnie zaniedbane, głuchonieme i t. d.

Konieczność powołania do życia tej organizacji tłumaczy się niemożnością zorganizowania przy 9 istniejących szkołach specjalnych opiek szkolnych, powodu braku zainteresowania ze strony rodziców. Dzieci, uczęszczające do tych szkół, rekrutują się spośród najuboższych rodzin

i najbardziej pod każdym względem zaniebanych. Prace Koła będą prowadzone w sekcjach, które powstaną przy każdej szkole.

Po zreferowaniu zagadnienia omawianej opieki przez dr. Korczaka, zatwierdzono statut Koła i wybrano prezydium zarządu.

Koło niezwłocznie rozpocznie swą działalność.

Nie narzekajmy, skoro budzą się takie inicjatywy i wchodzą w życie.

Matki wiedzieć powinny, że urządzenie świetlic przez radę szkolną m. st. Warszawy, przy publicznych szkołach powszechnych jest w toku. Dotychczas uruchomiono 55 świetlic w szkołach, które najpilniej tego potrzebowały. 1 listopada zakończono organizowanie świetlic. Są one czynne codziennie, oprócz niedziel, w ciągu 3 godzin.

W charakterze pracowników świetlic zatrudniona jest przedewszystkiem bezrobotna młodzież nauczycielska, t. zw. bezpłatni praktykanci nauczycielscy, którzy są opłacani z funduszy rady szkolnej. Tegoroczny preliminarz rady na utrzymanie świetlic obliczony jest na 80.000 zł.

Łącznie ze świetlicami szkolnymi będzie rozwijana, wzorem r. z., akcja biblioteczna przy pomocy 90 kompletów ruchomych z ogólną ilością blisko 5.000 tomów. Bi-

blioteki te zorganizowano w r. z. kosztem 12.000 złotych.

Każda z nas, dla której żadne polskie dziecko nie jest obojętne, niech uważnie odczyta, co pisze „Związek Przeciwzbraczy”, którego zadaniem jest „chronić dziecko od zebraństwa”.

W odezwie swej, wydanej podczas dni zbiórki ulicznej, czytamy:

„Litować się nad dziećmi, którym matka jest ulica, współczuć ich przedwczesnej dojrzałości, wesprzeć pojedynczym daniem ich bezradność, kawałkiem chleba uciszyć na chwilę — wieczny niedosyt, zapewnić nocleg na jedną noc — ich stałą bezdomność — to mało!

Twórzmy zakłady społeczno-wychowawcze dla nieletnich, gdzie pozbawione wszelkiej opieki dzieci, przez występnych rodziców lub nędzę zmuszone do zebraństwa, znalazłyby, prócz strawy i czystego ubrania, troskliwą opiekę nad zaniedbanym sercem i umysłem”.

Związek mieści się przy ulicy Wiejskiej 1. Każdy, kto może przyjść z pomocą największej niedoli, bo bezbronnemu dziecku wobec nędzy życia, niech tam śpieszy i ratuje nieszczęsne małe istoty, które znają tylko głód i cierpienie, a przecie tyle dobra i piękna na Bożym świecie.

Wiedzieć także bardzo pożytecznie, że odbył się w Warszawie, w sali dyrekcji tramwajów miejskich przy ul. Młynarskiej zjazd „Tow. Miłośników Robót Ręcznych”, który zgromadził liczne sfery nauczycielstwa i przedstawicieli Min. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Zjazd powitał prezes Towarzystwa Włodz. Gałęcki, poczem prezes Akademii Literatury Waław Sieroszewski wypowiedział piękny referat o kształceniu woli przez pracę fizyczną. W dobie bajecznego wprost rozwoju techniki — skierowanie młodzieży w kierunku zamiłowań do ręcznej pracy, ma niesłychanie doniosłe znaczenie wychowawcze.

*plewusze siwe włosy*

DYSKRETNE, NIEDOSTRZEGALNIE DLA OTOCZENIA MOŻNA USUNĄĆ ZA POMOCĄ ZUPEŁNIE NIESZKODL. ŚRODKA: REGENERATOR „ORIENTINE” KTÓRY NIE PŁAMI, NIE BRUZI, POZWALA NA WIECZNA ODULACJĘ, STOSOWANIE „ORIENTINE” NIE WYMAGA OBCYJ POMOCY, A WIĘC JEST DYSKRETNE I NIEDROGIE.

„ORIENTINE”  
— PARF. d'ORIENT — WARSZAWA.

WŁADYKIEWICZ WARSZAWA

## ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. Marji Sob... z Gości. Najgoręcej polecamy Sz. Pani zapisanie się na członka stałego „Polskiego Związku Zachodniego”, który ma swe oddziały w Warszawie, Krakowie, Katowicach i Toruniu. 9.500 dzieci polskich z Niemiec było naszymi gośćmi na kolonjach i w domach prywatnych. Z tych 1.840 dzieci polskich

z Niemiec, reszta ze Śląska, Pomorza, Gdańska. Te ostatnie są to już, na szczęście, dzieci polskie, ale więcej się zbratają z nami, jeśli przepędzą kilka tygodni w nieznanym sobie a bliskich sercem dzielnicach.

Pannie Wandzi — za liścik miły dziękujemy. — Książeczkę wysyłamy.

P. Zosi Ł... w Kutnie. List Pani nie doszedł naszych rąk. Prosimy o drugi.

## ARTRETYK może się stać inwalidą

bo dolegliwości artretyczno-reumatyczne, jako wynik przesylenia organizmu kwasem moczowym, oraz powstałe na tem tle stany zapalne, powodują bóle, zniekształcają stawy, utrudniają ruchy, powodują stopniowo utratę zdolności do pracy, a w niektórych wypadkach mogą doprowadzić nawet do kalectwa.

Ziola Magistra Wolskiego „REUMOSA” zawierające niezmiernie rzadką roślinę chińską Schin-Schen, usuwają kwas moczowy, łagodzą bóle, regulują przemianę materji, przez co stanowią racjonalne leczenie przy cierpieniach artretycznych, reumatycznych i bólach ischiasu.

Ziolo ze znakiem ochronnym „Reumosa” do nabycia w aptekach i drogerjach (składach aptecznych).

Wytwórnia: Magister E. Wolski — Warszawa, Złota 14, m. 1.

**OBAJACIE O SWOJE ZDROWIE!**

„SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA” SA STOSOWANE PRZY KAMIENIACH ŻÓŁCIOWYCH I SKŁONNOŚCIACH DO ZAPARCIA. „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA” SA NATURALNYM, ŁAGODNYM ŚRODKIEM PRZECIWSZCZAJACYM, UŁATWIAJĄCYM FUNKCJE ORGANÓW TRAWIENIA, STOSOWANYM RÓWNIEŻ PRZY NADMIERNEJ OTYŁOŚCI.

## KĄCIK DLA DZIECI

### WSPOMNIENIE DZIADUNIA.

Mroźny, słońcem wyłożony, a białymi puchami śniegu strojny, wstał styczniowy ranek. Przed dwór, na ganek, wyszedł pan Antoni i dłońmi oczy osłoniwszy, siwe brwi zmarszczył i wdał bystro popatrzeć. — No, Józiu — zwrócił się do stojącego za nim wnuka — możebyśmy się tak do lasu sanna wybrali? Pogoda murowana, a i coś ci pokazać chcę nim odjedziesz po świętach do szkoły, stary już jestem, a chciałbym przekazać coś twej pamięci. Każ zaprzęgać! — Uszczęśliwiony Józiu, nie pytając wiele, popędził ku stajniom. W niecałe pół godziny zajeżdżał malutkimi dwuosobowymi saneczkami przed ganek. Dziadunio wsiadł do sanek, ujął lejce w rękę, cmoknął na konia i kasztanek ruszył z kopyta. Jechali w milczeniu, po gładkiej wyskrzzonej słońcem drodze. Wjechali do lasu, gałęzie drzew nisko schylone ku ziemi pod białymi okiściami śniegu tręcały ich czasami, osypując srebrzystymi gwiazdeczkami. Po chwili dziadunio zбочzył z wyjeżdżonej drogi i zaczął jechać na przełaj. Lekkie saneczki przemykały się pomiędzy coraz gęstniejącymi drzewami. — Gdzie my jedziemy, dziaduniu? — zapytał półgłosem Józiu. — Zaraz zobaczysz — odparł dziadek. — Jechali jeszcze z kwadrans, aż las zaczął rzadnieć i nagle wjechali na ośnieżoną polanę, słońcem zalaną, dziadunio podjechał do wielkiego dębu i tam konia zatrzymał. — No, chłopcze — powiedział — jesteście u celu. Wsiedli. Przebrnęli jeszcze kilka kroków i stanęli przed niewielkim wzgórkim, na którym krzyż z drzewa rzezany ośnieżone ramiona wyciągał. Dziadek zdjął czapkę i Józiu za przykładem dziadunia to uczynił. Chwilę stali w milczeniu, a potem pan Antoni, lekko śnieg z krzyża otrząsł i powiedział: — Przeczytaj, co tu napisano! — Józiu czytał: — Feliks Duda, lat dwanaście, w służbie za ojczyznę życie poświęcił, roku pańskiego 1863. — Mogiła powstańcza — wykrzyknął chłopiec — ale czyja, dziadziu, czyja, toż tacy chłopcy, jak ja, do powstania nie szli? — Chcę ci właśnie o tem powiedzieć, ale przedtem egzamin — uśmiechnął się dziadek — kiedy wybuchnęło powstanie 1863 r.? — 22 stycznia, dziaduniu — zawołał Józiu. — No dobrze, dobrze — uśmiechnął się dziadek — już cię więcej mężczyźni nie będą, bo widzę, że ledwo z ciekawości wytrzymać możesz. W chwili wybuchu powstania miałem ja lat dwanaście, ojciec mój już nie żył, gospodarzyła moja matka z pomocą szwagra, męża mej starszej siostry. Partja się tworzyła w naszych stronach, poszedł więc i szwagier „do lasu”, jak wtedy mówiono, walczyć za Ojczyznę i precz wygnać naszych gnębieli. Wy, w wolnej Polsce urodzeni, rozumiecie tego nie możecie, jakie to było życie, gdzie nawet pacierza w ojczystym języku zabraniano. Ano Bóg łaskaw doczekać mi pozwolił wolnej Ojczyzny. Ale na czem ja to przerwałem? — Że szwagier dziadka też poszedł do powstania — podsunął skwapliwie Józiu. — Aha, prawda. W tych więc lasach kryła się partja i ze dworu cichaczem dostarczało się żywności, kulek, bandaży do rąk starego leśniczego, oddanego sprawie. Raz tak wypadło, że koniecznie trzeba było odnieść kule świeżo odlane, bo grubiła rewizja we dworze, a nikogo pewnego nie było. Matka moja i siostra uradziły, że dosyć już jestem roztropny, by mi tę misję powierzyć. Przeżegnała mnie matka kochana krzyżem świętym i ze łąką w oku w drogę wyprawiła. Miałem niby iść do lasu siadła zastawiać. A miałem ja takiego przyjaciela, Felisia, sierotę, co się przy dworze chował, bez niego ani rusz, nic mi się nie udawało. Tak nie wiele myśląc, zawołałem go i wtajemniczyłem we wszystko. Nieroztropnie to było może z mojej strony, ale wierzyłem Felisiovi i nie zawiodłem się. Szarym zmkrokiem, cichcem wymknęliśmy się ze dworu i polnemi drogami dotarli do lasu. Już do tej polany doszliśmy szczęśliwie, gdy nagle wiatr przyniósł nam dźwięki mowy i stukot kopyt. Zmieniliśmy się w słuch. — Kozacy — szepnąłem. — Żle — dodał Felis — ani chybi na ślad nasz trafia. — Czekaliśmy jeszcze chwilę. — Rzucmy naboje i proch w zarośla, a sami siadła stawiamy — radziłem. — Ej, nie — pokręcił głową Felis — niemożna — proch zamoknie, a jeszcze znajduj i nasi bez broni zostaną. — Ot wiesz co, biegnij w te krzaki — szepnął — tędy do leśniczego trafisz, a ślad twój zaginie, a ja tu zostanę, to nie spozrzegaj, że nas dwu było. — Ale, Felisiu, oni cię zabiją! — prawie krzyknąłem. Szorstką ręką zakrył mi usta. — Cicho, bo usłyszają. Ważniejsza Sprawa, niż ja, a Bogu przysięgam, że nie wydam, a ty leć — i szorstko pchnął mnie w krzaki! Tyle go widziałem.

Klucząc wkoło, dotarłem do domku leśniczego, zdaleko tylko coś jak strzał doleciało mych uszu, chciałem zawrócić, ale przypomniałem sobie z czem biegnę i pośpieszyłem ile sił w nogach. Stary leśniczy, usłyszawszy stukanie w okno, wyszedł mi naprzeciw, odebrał pakunek, wszedł do domu, coś powiedział i za chwilę jakaś postać szara przemknęła koło mnie — kule dostały się na swoje miejsce. U leśniczego byłem spokojny, jako wysłuchony żołnierz rosyjski, nie był podejrzanym. W nocy przekradliśmy się na polanę, okrutnie poranione nahajem leżały zwłoki Felisia, strzelili widać z bliska do niego i wpakowali mu kulę w głowę. Nigdy nie zapomnę jego skrwawionej, bolesnej, a jednak pełnej jakiejś jasności — twarzy. Pochowaliśmy go cichcem. Nazajutrz wróciłem do dworu, gdzie mnie już matka z siostrą opłakały, słysząc strzały w lesie. Rokrocznie jestem na tej mogile. Nie dałem jej się w ziemię zapaść. Myślałem na cmentarz go przemieść. Aleć pomyślałem — niech zostanie w tej ziemi krwią jego ofiarną skropionej, niech wam młodym przypomina o tych bezimiennych bohaterach, co wszędy rozsiani po naszej ziemi leżą. Więc ino ten krzyż postawiłem. Stary już jestem — więc na ciebie kolej, mój wnuku, pamiętać o Felisiowej mogile. — Skończył pan Antoni i rękę na głowie wnuka oparł, a Józiu rękę tę wziął i z czcią głęboką, pełną przyrzeczeń, ucałował.

H. Rostafińska-Choynowska.

### ŻEGNAJ ROCZKU STARY

*A kiedy odchodzisz od nas Roczku Stary  
Weź z sobą, prosiny, te nasze przywary:  
Uporki, grymaski, brudaski, leniuszki  
I jak się zwą jeszcze te przekorne duszki  
Co wchodząc za kotłnierz i szepcząc do uszka:  
Że grzeczność jest nudna — tem mącą serduszka  
I z grzecznością bywa coś czasem nie tego.  
Teraz będziem grzeczni, od Roczku Nowego,  
Jak to bez nich nudno, gdy się przekonamy,  
Choć wrócą grymaski, już im się nie damy.*

H. R. Ch.

### W TRZEJKRÓLOWY WIECZÓR

*W trzejkrólowy wieczór  
Przyszli kołędnicy  
Zustukali głośno  
We drzwi od ulicy —*

*Gdy im otworzono,  
Gwiazdę zaświecili,  
Śpiewając kołędę,  
Wkoło nią kręcili,*

*Kołady melodia,  
To skoczna, to słodka,  
Tak się wdzięcznie wije,  
Jak nie z kołowrotka.*

*A stubarwne blaski  
Gwiazdy trzejkrólowej,  
Urzekają oczy  
W sposób zawsze nowy.*

H. R. Ch.

### ZGADYWANKA WYRAZOWA DLA DZIECI STARSZYCH

Z poniższych sylab ułożyć wyrazy o znaczeniach podanych, których pierwsze litery, czytane z góry na dół, i ostatnie, czytane z dołu do góry, dadzą dwukrotnie imię i nazwisko sławnej poetki polskiej, której 25-lecie zgonu obecnie obchodzimy. Za dobre rozwiązanie pierwszemu przysyłającemu dobre rozwiązanie wyslemy ładną książeczkę.

#### Znaczenie wyrazów.

1. Jagoda. 2. Alkohol, używany do herbaty. 3. Przedmiot modlitewny. 4. Młode jelenie. 5. Słowo kończące modlitwę. 6. Zabawka optyczna. 7. Otwór w ścianie. 8. Gas szlachetny, używany do oświetlania lamp reklamowych. 9. Organ zmysłu. 10. Sługa po staropolsku. 11. Mieszkanie myszy. 12. Tryb rozkazujący od imać. 13. Nazwa panującego w starożytnym Rzymie. 14. Pokój na okręcie. 15. Imię męskie.

#### Sylaby.

a, a, a, bi, ce, cho, dam, do, i, je, ka, ka, ki, ko, lej, li, lon, łek, ma, maj, men, na, ma, ne, nlec, no, no, o, ok, on, pa, ra, rak, ró, skop, zar, ża.

H. R. Ch.

MIŁOŚNIKOM „ROZRYWEK UMYŚLOWYCH“ PRZESYŁAMY ŻYCZENIA „WESOŁYCH ŚWIĄT“ I „DOSIEGO ROKU“!

LOGOGRYF GWIAZDKOWY.



Poczynając od lewej góry i posuwając się w kierunku wskazówki zegarowej, proszę wpisać w kratki rysunku 98 wyrazów trzyliterowych o podanych niżej znaczenia. Litery w kratkach z kółkami dadzą rozwiązanie, które podać można bez wyrazów pomocniczych.

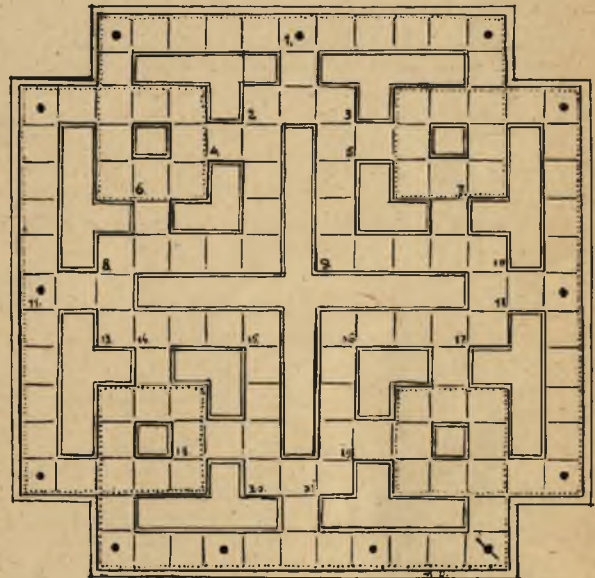
Znaczenia wyrazów: 1. Powieść Rodziewiczówny. 2. Przeznaczenie. 3. Wykrzyknik żalu. 4. Kość rybia. 5. Gat. wierzby. 6. Przezczenie. 7. Obawa. 8. Liczebnik. 9. Termin szachowy. 10. Lakier do paznokci. 11. Ryba członkopromienna. 12. Pr. dopływ Kamy. 13. Roślina ozdobna. 14. Pr. dopływ Dunaju. 15. Włoska moneta. 16. Zwierz domowy. 17. Głębka obrazu. 18. Odmiana księżycy. 19. Liczebnik. 20. Odlam lodu. 21. Poeta polski. 22. Spożyje. 23. Renifer. 24. Nerwoból. 25. Owad jadowity. 26. Karta święta. 27. Zabawka dziecienna. 28. Rzymskie bóstwo urodzajów. 29. Rzeka w Egipcie. 30. Nazwa zębów. 31. Członek rodziny. 32. Zaimek osob. 33. Rzeka w Polsce. 34. D. komitat węgierski. 35. Ptak wróblowaty. 36. Przyrząd gimnastyczny. 37. Wielkolud. 38. Niedźwiadek. 39. Pisarz polski. 40. Marzenia (n = Ń). 41. Pierwiastek chem. 42. Obrzęd (czyn). 43. Kolor w kartach. 44. Inaczej: drwi. 45. Okres czasu. 46. Spiżarnia chłopska. 47. Nadzorca w Turcji. 48. Owad nocny. 49. Kurz. 50. Imię żeńskie zdrobn. 51. Spód. 52. Ryba karpowata. 53. Chwyta. 54. Załoba. 55. Imię cyganki. 56. Niedobre. 57. Drzewo leśne. 58. Marka aparatów fotogr. 59. Lilaki. 60. Struś australijski. 61. Gruba tarcia. 62. Spoczywa we śnie. 63. Drzewo iglaste. 64. Półwysep w Polsce. 65. Antylopa afryk. 66. Spoiwo (lepiszcze). 67. Dyznitarz abisyński. 68. Zwierzęta domowe. 69. Matka rodu ludzk. 70. Przyprawa do potraw. 71. Dopływ Tybru. 72. Powieść Gąsiorowskiego. 73. Obydwa. 74. Wiertho. 75. L. dopływ Prypeci. 76. Papuga. 77. Wydzielina oka. 78. Nazwa konstelacji. 79. Utwór Makuszyńskiego. 80. Pytanie. 81. Wyrób nabiалу. 82. Utwór poetycki. 83. Miasto na Mazowszu. 84. Wykrzyknik milczenia. 85. Miasto w Finlandji. 86. Eden. 87. Nazwa. 88. Spójnik: choć, lubo. 89. Generał polski. (1780—1835). 90. Liczebnik. 91. Twoja. 92. Prąd powietrza lub wody. 93. Giermek królewski. 94. Wykrzyknik wskazujący. 95. Bokser polski. 96. Troszczy się. 97. Uczucie cierpienia. 98. Imię artysty filmowego.

N. K. Kozłowski (czł. Kl. Sz.).

CIĄGÓWKA W KRZYŻÓWCE.

Podana figura składa się z dwóch części: Ciągówki i krzyżówki.

Ciągówka. Wpisanie wyrazów należy kontynuować wzdłuż kropkowanej linii. Początek od dolnej prawej kratki z linijką ukośną, kierunek zegarowy. Wyrazy mają wspólne końcówki. — Znaczenia wyrazów: 1. Czały, pikiet (6 liter). 2. D. stolica Abisynji (5). 3. Mokra łąka nizinna (6). 4. Sł. malarz obrazów relig. (6). 5. Namiot pasterzy (6). 6. Utwór wyszydzający wady ludzkie (6). 7. Miara gruntu (2). 8. Odkupienie towaru za cenę wyższą od pierwotnie zapłaconej (6). 9. Klepisko



w stodole (3). 10. Arka (6). 11. Koń tatarski (7). 12. Wstążka (5). 13. Roślina ozdobna (5). 14. Tytuł urzędnika (7). 15. Mozół (4). 16. Australijskie zwierzę ssące z pasim dziobem (7). 17. Roślina rosnąca w zbożu (5). 18. Bogini nocy (6). 19. Narzecze prowincjonalne, dialekt (5). 20. Miasto w Małopolsce.

Krzyżówka. Wyrazy pionowe: 1. Marzy. 2. Kłapa kieszonki. 3. Klamra (mutra). 6. Postać biblijna. 7. Przezczenie. 8. Znak na kostce do gry. 10. Spoidło. 14. Miasto portowe w Indiach bryt. 15. Gruby kij. 16. Lek. 17. Roślina rosn. na miejscach wilgotnych. 21. Wąż-dusieli. — Wyrazy poziome: 2. Kolor w kartach. 4. Zator lodowy. 5. Unoszenie się w powietrzu. 8. Drugi zbiór siana. 9. Pierwiastek chem. 11. Wół tybetański. 12. Spieszą. 13. Wykupienie napowrót rzeczy sprzedanej. 16. Treść (osnowa pisma). 18. Sedzia w podziemiu. 19. Czarodziej. 20. Męskie imię tureckie.

Litery w 13 kratkach, oznaczonych kropkami, czytane zegarowo, począwszy od dolnej prawej kratki z ukośną kreską, dadzą rozwiązanie zasadnicze, które podać można bez wyrazów pomocniczych. M. Rossa, Tzew.

Za rozwiązanie powyższych zadań (lub choćby jednego), przeznacza Redakcja do rozlosowania kilka nagród książkowych. Termin nadsyłania rozwiązań zadań trzytygodniowy.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU LISTOPADOWEGO 1935 ROKU.

Szarada: Po złotej jesieni będzie łagodna zima.

Rebusik: Papuas.

Arytmograf:

Dzisiaj jesteśmy, jutro nas nie stanie,

To jedno tylko, co po nas zostanie:

Resztką odzienia z ziemskiego padoleu,

Maleńką garstką szarego popiołu.

(Wyrazy klucza pomocniczego: Listopad, cyrkuł, pleśń, młyn, mazgaj).

Nagrody książkowe otrzymują: p. H. Dowborówna z Wilna i p. W. Chrostowska z Warszawy.

ŚWIĄTECZNY NUMER „ROZRYWKI“

styczniowy, bogaty w doborową treść, (nowe typy szarad i pomysłowe zadania) już opuścił pracę. Prenumerata kwartalna 2 zł. Adres: Klub Szaradzystów, Warszawa, Żulińskiego 7 m. 10. Konto P. K. O. nr. 2048 lub przekazem rozrachunkowym. Żądajcie bezpłatnych numerów okazowych. M. Śl.

# PATRZĘ, SŁUCHAM I OPISUJĘ

Z poobiedniej drzemki zbudził mnie telefon.

— Hallo! Czy to pan, panie Władysławie?

— Tak. Proszę!

— Tu mówi Mira Wazadzka.

— Owszem, poznaję.

— Drogi redaktorze, przypadło mi w miłym udziale zaprosić pana w imieniu wszystkich pań naszego Związku na jutrzejszy wieczór dyskusyjny. Sądzę, że nie odmówi mi pan, prawda?

— Bardzo chętnie, ale... o ile wiem, organizacja szanownych pań jest wybitnie feministyczną.

— W zasadzie tak, ale na ogólne życzenie wszystkich członkiń, tym razem postanowiliśmy uczynić wyjątek i zaprosić sz. pana.

— Panie są zbyt dla mnie łaskawe.

— O! Niema w tem nic dziwnego, jest pan tak czarującym człowiekiem i... redaktorem, że napewno nie odmówi mi małej wzmianki w prasie o owocnej, niestrudzonej pracy naszej placówki na niwie społecznej.

(Teraz rozumiem, na czym polega mój czar. Sprytna kobiątka, myślę sobie).

— A więc do zobaczenia jutro o siódmej wieczorem. Dowiedzenia!

\* \* \*

Wchodzę trochę spóźniony i skromnie siadam w ostatnim rzędzie.

Za ogromnym stołem, przykrytym czerwonym sukmem zasiada przewodnicząca.

Jednym okiem majestatycznie wodzi po sali, drugie kokieteryjnie kryje pod aksamitnym berecikiem. Dwa srebrne lisy, spływając z jej ramion, puszystymi ogonami opierają się o podłogę.

Na ten widok wśród zebranych bardzo licznie pań rozchodzi się szmer. Z pobliskich rzędów dolatują mnie fragmenty poufnych rozmówek.

— Wie pani, te lisy kupił jej pierwszy mąż, mówi jedna z pań.

— Co też pani mówi, pani Halu, wiem z całą pewnością, że właśnie ten ostatni — trzeci. Zapłacił za nie półtora tysiąca złotych.

— A ja od przyjaciółki mojej przyjaciółki słyszałam, że są one tylko zręczną imitacją, — tylko, błagam panią, to tajemnica przed moim mężem, ponieważ...

Nie słyszę już końca rozmowy. W tej właśnie chwili przewodnicząca oznajmia, że chluba Związku, p. Janina Zebrańska, wygłosi referat p. t. „Walka kobiet o równouprawnienie”.

Przyznam się, że w ostatnich latach kwestja praw kobiecych nie interesowała mnie. Zajmują one już prawie wszystkie stanowiska, więc sądziłem, że walka o równouprawnienie z epoki pozytywizmu jest już przebrzmiałym echem.

Tymczasem, teraz słyszę o kobietach pokrzywdzonych w swych prawach. Zjawisko to występuje prawie we wszystkich państwach europejskich. Jedynie Ameryka uznaje kobietę za człowieka w pełni tego słowa znaczeniu, czego dowodem, że obecnie miss Ritch kandyduje na podsekretarza stanu, a ponadto obiady Amerykanka ma już przygotowane pod postacią konserw. Nie jest więc niewolnicą kuchni.

Te ostatnie słowa wywołują spontaniczną burzę oklasków.

Po chwili prelegentka mówi dalej: „A my Europejki-Polki jaką pełnimy rolę? Jak jesteśmy oceniane? Naszą pracę państwo i władcy mężczyźni oceniają sarkastycznym uśmiechem! Za równorzędną pracę, wykonywaną przez mężczyznę i kobietę, kobieta zawsze ma niższe uposażenie! Oto jest sprawiedliwość, etyka cywilizowanego świata!”

Szmer oburzenia rozchodzi się po sali. — Następuje chwila przerwy.

Jakaś młodzieńka blondyneczka prosi o głos:

— A ja uważam, że to jest sprawiedliwe — mówi — bo gdy mężczyzna chce założyć rodzinę, musi mieć lepsze warunki materialne, niż samotna kobieta!

— Protestuję! Protestuję! — krzyczy kilkanaście głosów. „Atmosfera rozgrzewa się”.

Jednocześnie z pierwszych rzędów dolatuje niski, basowy głos.

— Jest pani jeszcze bardzo młodą, skoro wierzysz, że twój wybrany tyran, jeżeli nawet będzie miał czterokrotnie wyższe uposażenie, nie wypędzi cię do pracy zarobkowej. Powie krótko: kryzys. Nie wystarczy, musisz pracować!

Speszona opozycjonistka milknie.

W tej chwili patetycznym tonem odzywa się żona znajomego dyrektora departamentu w ministerstwie, który ma około 1.300 zł miesięcznego dochodu.

— My, kobiety, matki współczesne jesteśmy w bardzo nie-szczęśliwym położeniu. Zmuszone pracą zarobkową latać budżety naszych mężów, nie mamy czasu na wychowywanie naszych dzieci. Rolę opiekunek i wychowawczyń pełnią płatne służące, a my...

— Tańczymy na dancjach i gramy całe popołudnia i wieczory w bridge'a — woła jakiś głos (wydało mi się, że to był głos owej blondyneczki).

a my — ciągnie dalej pani dyrektorowa — przeżywamy okrutną tragedję matek... bez dzieci.

Współczujące westchnienia wyszły z ust kilku najwytworniejszych pań.

Teraz wstaje inna.

— Szanowne Panie! Skoro dyskusja toczy się dookoła sprawy wychowania dzieci, pozwolę sobie podzielić się z łaskawymi słuchaczkami zdobyciami najnowszej wiedzy pedagogiczno-psychologicznej. Znany psycholog prof. W... twierdzi, że zainteresowania matki muszą iść po linii zainteresowania dziecka. Zbrodnią byłoby narzucenie przez matkę swoich osobistych poglądów dziecku, którego indywidualność należy zachować i rozwijać!

— Ależ, proszę pani, woła jakaś mamusia, mój Jureczek interesuje się tylko piłką nożną, boksem i t. d. Książka dlań nie istnieje. Z entuzjazmem opowiada mi, że Grabowski lub Meissner na meczu „strzelił gola”, „wybił bramkę” i t. p., a ja słucham, nic z tego nie rozumiejąc!

— To bardzo źle! Powinna pani nauczyć się wyrazów słownika sportowego i wspólnie z synkiem przeżywać emocje meczów i turniejów; a wówczas przez wspólne zainteresowania i sportstrzeżenia zacieśni się między matką i synem węzeł przyjaźni i stworzy się stosunek prawdziwie koleżeński!

Na te słowa, jakaś energiczna brunetka zrywa się ze swego miejsca, wołając:

— Panie! Kobiety! Opamiętajcie się, co czynicie? — Z własnych synów chcecie zrobić kolegów? To oburzające! Bądźcie konsekwentne w czynach i wierne ideałom! Z jednej strony wypowiadacie otwartą walkę mężczyźnie, a z drugiej smarkaczy dopuszczacie do konfidencji! Dla kobiety niezależnej nie może istnieć brat, mąż, syn, — istnieje tylko mężczyzna, z którym musi walczyć o swe prawa i stanowisko codziennie, w każdej chwili, by nie zejść do stanowiska domowej kury! Hasłem naszym musi być: „zdobądź prawa i czuwaj”, bo nigdy nie wiadomo kiedy z zasadzki uderzy na cię wróg — mężczyzna!

\* \* \*

Było już dobrze po północy, gdy opuściłem to wysoce intelektualne i uspołecznione grono „świadomych” kobiet z t. zw. inteligencji. Do tej chwili nie wiem, o co właściwie one chcą walczyć?

Z morza pustych, chaotycznych frazesów nie wypłynęła ani jedna rzeczowa, logiczna myśl.

Odniosłem wrażenie, że nawet one same, „walczone kobiety”, nie wiedzą dobrze, czego chcą. — Ot zebrały się, aby „społecznie” pogwarzyć, poplotkować i wyładować temperamenty.

A może mylę się? Może ta „milcząca siła” kryje w sobie tajemną moc i potęgę? Kto wie?

Kiedy przymknę cięślesne powieki i wytyczę w przyszłość wzrok ducha, widzę blisko sielski obrazek społeczno-obyczajowy.

Zona... w todzie czarnej, siłą argumentacji i ostrzem paragrafów kodeksu niewinnym czyni przestępcę przed trybunałem... a mąż... kołysze niemowlę, nucąc tęsknie murzyńską kołysankę: Ach luli, luli, tato cię utuli...

To prawdopodobnie spodoba się... ale tylko społecznym kobietom.

Władysław Złowidzki.